ŁOWIEC POLSKI



Gęsi nad stawem w Założcach (woj. lwowskie). Fot. W. Puchalski.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 24 (908) 20 SIERPNIA 1938 R.

CENA ZŁ. 1.–



Z IV Konkursów w strzelaniu do rzutków Radzyńskiego T-wa Łowieckiego, odbytych w Borkach (vide sprawozdanie na str. 527). Fot. T. Karłowicz.

W SPRAWIE STATYSTYKI ŁOWIECKIEJ

W zeszycie sierpniowym „Myśliwego" ukazała się notatka p. Bena p. t. „Statystyka łowiecka". Autor, nie przecząc niezbędności statystyki łowieckiej, poddaje krytyce poczynione w ramach organizacji P. Z. Ł. kroki w celu zdobycia takiej statystyki i na podstawie tej krytyki oświadcza, „że nie ma najmniejszego zaufania" do tak postawionej sprawy. Przypatrzmy się, jak wyglądają zarzuty p. Bena, które go do tak pesymistycznego wniosku doprowadziły.

A więc przedewszystkiem „Odezwa Komitetu Wykonawczego oraz wszystkie druki (statystyczne) zasadniczo są przewidziane dla Stowarzyszeń Łowieckich i to zarejestrowanych, nie przewidują natomiast indywidualnych myśliwych i do nich (?) zasadniczo ta statystyka nie tyczyłaby się". Zaznaczając, iż do P. Z. Ł. należy tylko j e d n o stowarzyszenie łowieckie, „a to Małopolskie Towarzystwo Łowieckie" autor oświadcza, iż „moim zdaniem odezwa Komitetu Wykonawczego i druki statystyczne winny być skierowane do członków P. Z. Ł., a nigdy stowarzyszeń".

Trudno w tak krótkim ustępie zgromadzić więcej błędów rzeczowych, jeśli pominiemy już błędy w składni. § 1 statutu P. Z. Ł. głosi, iż jest on „związkiem osób fizycznych, posiadających karty łowieckie... oraz Stowarzyszeń, działających w zakresie gospodarstwa łowieckiego". Stowarzyszeń takich w tej chwili zrzesza P. Z. Ł. w liczbie ponad 100, a że każde z nich liczy od 15 do 30 członków, za ich pośrednictwem przeto Komitet Wykonawczy dociera do kilku tysięcy myśliwych zorganizowanych.

Nie wszyscy członkowie P. Z. Ł. należą jednak do stowarzyszeń i kółek myśliwskich. Do nich zwraca się Komitet Wykonawczy również, ale nie bezpośrednio — jak to proponuje p. Ben — lecz przez swe organy lokalne, powiatowe, które właśnie w tym celu zostały do życia powołane, aby być łącznikiem pomiędzy centralą a poszczególnymi członkami.

Okólnik do Stowarzyszeń zrzeszonych w P. Z. Ł. w sprawie statystyki łowieckiej ogłoszony został w Nr. 11 „Łowca Polskiego" z 1937 r. wraz ze wzorami schematów statystycznych, zaś instrukcja w tejże sprawie dla pp. Łowczych i Podłowczych Powiatowych — w Nr. 16 „Ł. P." z tegoż 1937 r. Instrukcja ta w ustępie 2-im głosi: „Zarządy Stowarzyszeń, zrzeszonych w P. Z. Ł. otrzymują odpowiednią instrukcję. Zaś zadaniem pp. Łowczych i Podłowczych Powiatowych będzie zobowiązanie Stowarzyszeń niezrzeszonych oraz właścicieli, względnie dzierżawców łowisk prywatnych, do sporządzania tego rodzaju sprawozdań z wyniku polowań na ich obszarach".

Z przytoczonego widać, że wszystkie zastrzeżenia p. Bena co do niewłaściwego skierowania druków statystycznych są zupełnie bezpodstawne. W związku z tem tracą całkowicie posmak oryginalności następujące rady autora: „Wydać zarządzenia obowiązkowego prowadzenia statystyki zgóry przewidzianej przez każdego myśliwego i kluby myśliwskie. Odpis takiej statystyki z końcem każdego roku łowieckiego zobowiązany będzie członek myśliwy oraz klub przekazać Łowczemu Powiatowemu. Łowczy Powiatowy na podstawie tak zebranego materjału układa ogólną statystykę powiatu, która następnie będzie podstawą do opracowania statystyki wojewódzkiej, a ta ostatnia — statystyki ogólnopaństwowej. Tak dopiero pomyślana statystyka będzie statystyką, obrazującą wszechstronnie działalność gospodarki łowieckiej".

„„Bo przy pismach okólnych z dn. 23 lutego i 18 marca r. b. Komitet Wykonawczy przesłał Wojewódzkim (Oddziałowym) Radom Łowieckim odpowiednią ilość egzemplarzy instrukcji i odezw w sprawie sta-

tystyki łowieckiej wraz z odnośnemi drukami statystycznemi i prosił o przesłanie ich pp. Łowczym i Podłowczym dla zgromadzenia możliwie ścisłych danych za ubiegły rok łowiecki 1937/38. Wypełnione



Rogi jeszcze niewytarte (5.VI). Fot. J. Strzelecki.

wykazy statystyczne mają być dostarczone przez pp. Łowczych i Podłowczych Wojewódzkiej (Oddziałowej) Radzie Łowieckiej do dn. 1 czerwca r. b., zaś na podstawie tego materjału Rady Wojewódzkie mają sporządzić zestawienie dla całego województwa i proszone są o przesłanie ich Komitetowi Wykonawczemu w ciągu lipca.

A zatem i tu niepokoje p. Bena są pozbawione podstawy, zaś rady, które pragnął udzielić — spóźnione conajmniej o pół roku.

Wreszcie p. Ben martwi się zgóry, że danych statystycznych, dotyczących łowiectwa, wogóle nie da się zebrać, gdyż w szeregach P. Z. Ł. jest zaledwie 30% myśliwych, a więc w najlepszym razie będzie to materjał częściowy, a pozatem i dostarczone dane nie będą ścisłe, bo sam p. Ben nie wie np. ile kosztowała go amunicja zużyta w ciągu roku.

Musimy uspokoić i te obawy p. B. Mamy już w tece Związku szereg odpowiedzi od Stowarzyszeń Łowieckich, świadczących o całkowitej możliwości zgromadzenia danych statystycznych, o które Związkowi chodzi, przy należytej — oczywiście — dobrej woli zainteresowanych. Że narazie trudno oczekiwać, aby można było zdobyć statystykę, obejmującą wszystkich myśliwych i wszystkie łowiska, to co do tego Komitet Wykonawczy nie miał żadnych złudzeń. Ale początek musiał być zrobiony, zaś zdobycie danych, dotyczących choćby owych 30% społeczności łowieckiej, da nam materjał orjentacyjny bardzo poważny, umożliwiający przeprowadzenie rachunku, zapewne przybliżonego, ale bądź co bądź rachunku, a nie gołosłownego przypuszczenia.

Właśnie troska o zdobycie tego materjału orjentacyjnego w zakresie statystyki skłania mnie do energicznego wystąpienia przeciwko tego rodzaju próbom bezpodstawnej krytyki zarządzeń, których się nie poznało wszechstronnie, a których wagi się nie docenia.

J. GIEYSZTOR.

Kruk

(Ballada).

Pośród pustkowia ściętych pni
Na jedli — w skrzyżowaniu dróg —
Pędził ostatek swoich dni
Siwy, odwieczny kruk.

Pamiętał, jak wkrąg szumiał bór
W przedziwną krasę strojny,
Gdzie zwierz królewski, żubr i tur,
Żył wolny i dostojny.

Pamiętał orłów dumny zew
I ich poloty górne...
I rozszalałych wichrów gniew
W jesienne noce chmurne.

I wspomniał ciszy leśnej czar
W letnie południa znojne,
Kiedy zamiera ptasi gwar
I milkną pszczoły rojne.

I chrzęst tysiąca zbrojnych nóg,
Śpieszących w świat na boje,
Gdy zagrzmiał w dali złoty róg,
Ojczyzno! w imię Twoje...

I uczty krwawe wspomniał kruk,
Gdy legło wraże plemię...
Zliczył je chyba jeden Bóg,
Wejrzawszy na tę ziemię.

A dziś? Skarlały ludzki ród
Przyziemny byt swój wlecze,
Tnie lasy, by mieć roli wbród,
Na lemiesz przekuł miecze...

Tak dumał kruk i wzbił się hen
Na skrzydłach swych mocarnych,
Aby ostatni prześnić sen
Zdala od siedzib gwarnych.

Aby ogarnąć jeszcze raz
Ojczyste swe dziedziny,
Gdzie mu niedawno szeptał bór
Swe troski i nowiny.

I wtedy w pustce ściętych pni
Swym płaczem kruk podzwania —
Słychać w nim żal minionych dni
I smutek pożegnania.

Zamość 30.IV.1938 r.
(„Święto lasu").

EDWARD NIEDZIAŁKOWSKI

Prosimy wszystkich Prenumeratorów o podawanie dokładnych adresów.

W razie uchybień w regularnem otrzymywaniu kolejnych numerów Łowca Polskiego, prosimy o kierowanie reklamacji w pierwszym rzędzie do swego urzędu pocztowego i o zawiadamianie również nas o tem.

Administracja

MIGAWKI WOŁYŃSKIE — NOC PRZY OGNISKU

Jedziemy na polowanie; odkładane codziennie z różnych powodów, wreszcie dochodzi do skutku. A wieści z „pola bitwy" napływały różne, dostarczane przez leśnych szpiegów - gajowych. Kozłów jest dużo, Michał widział kozę i rogacza, a na Danyłę jeden po drugim wychodził.

— Teterukiw, prosto rukami brat'!...

Te wiadomości, trwające narady, wszystko stwarza specyficzny nastrój oczekiwania; ale przez trzy dni, jak na złość, padał deszcz drobny, jakby siany przez sito, a noc przychodziła ciemna, bez gwiazd, nakrywając wszystko sadzami mroków, więc trzeba było czekać.

Mamy spory kawał drogi przed sobą, około 20 klm. do miejsca spotkania z resztą myśliwych. Z powodu ciemnych nocy, postanawiamy wyruszyć wcześniej, by dojechać i rozłożyć się obozem przed nocą, skąd o świcie znów dalej wyruszymy. Trasa jest dość uciążliwa, zważywszy, że trzeba jechać po „naprawionej drodze", czyli po pomoście z gałęzi i drzew. Wózek podskakuje, trzeszczy, wznosi się, jak nad przepaścią, i opada znienacka, przyprawiając o ból zębów, słowem — „droga poleska", która wzięłaby rekord niewygody i wybojów.

Psy, jadące z nami, są podniecone, nie mogą uleżeć spokojnie. Przy furmanie, młody setter - gordon „Ras" usiłuje wyskoczyć, ja trzymam gończaka „Nera", który niespokojnie wpatruje się w gąszcz leśny i nagle zaczyna piszczeć i skomleć.

— Nero pewno coś czuje, proszę dobrze trzymać, bo jak pójdzie, to trzeba będzie długo czekać — odzywa się Leon.

Trzymam mocno i uspakajam Nera, który drży i patrzy mi w oczy z napięciem, widocznie zdecydowany był oddawna zrobić kawał. W chwili, gdy podskakuję na wyboju i wózek przechyla się gwałtownie, Nero daje susa, opada na ziemię, pod koła, by za chwilę zawisnąć na smyczy. Szczęściem jedziemy tak wolno, że nic mu się nie stało. Nero jest teraz zawstydzony, z pokorą przyjmuje lanie. — Aj, aj! — zaskowytał boleśnie Nero, posłusznie przypadając na spodzie wózka, gdyż jest zupełnie zgnębiony. Słyszę lekki chrzest gałęzi.

— Ot, tam poszła koza — krzyczy Leon.

Teraz, bez przeszkód, dążymy naprzód, szybko zapada zmrok, przejeżdżamy wzdłuż łąki i bagna, wśród dymu oparów. Na horyzoncie, pod czarną ścianą lasu, nisko rozsnuwają się szale mgieł. Opalizująca niebieskość nieba szarzeje, na tem tle występują coraz ostrzej kontury drzew, jakby rysunki sylwetkowe tuszem. Wjeżdżamy znów w las, który więzi nas ciemną ścianą, między wierzchołkami jaśnieje tylko smuga nieba. Przejmującym krzykiem odzywa się sowa, głodna żeru, za chwilę wyleci na łowy. W trawie zapalają się nisko fosforyzujące światełka, to błyszczą robaczki świętojańskie — klejnoty lasu.

Czuje się chłód nadciągającej nocy.

— Będzie zimno — mówi Leon i naciąga kożuszek, który obowiązuje w tych stronach od „Spasa". Kiwamy się sennie, bo droga zła nie usposobia do rozmowy, tylko konie parskają.

Wreszcie jesteśmy u celu, z za drzew widzimy rozłożone ognisko, a na jego tle wysoką sylwetkę leśnika, Michała. Robimy przygotowania do spędzenia nocy. Ognisko rozłożone jest przed olbrzymią zwaloną sosną, ofiarą ostatniego huraganu, będzie ona naszem oparciem i poduszką dla sennych głów. Płomień oświetla jej potężne korzenie, sterczące, jak nogi potwornego kraba.

Jest zupełna noc. Gwiazdy mrugają nad głową, a mrok czerni każdy kształt, ognisko jest jedyną oazą światła i ciepła. Już obóz rozłożony, majaczy tylko kontur wozu i koni, przywiązanych do niego, chrupiących siano. Leon wydostaje słoninę, kraje ją na grube kawałki i na zaimprowizowanym rożnie zaczyna piec na ognisku, skrzętnie zbierając łzy spadającego tłuszczu na czarny chleb. Za chwilę i my wszyscy idziemy za jego przykładem.

Zaczynają się opowiadania myśliwskie:

— Jak to nieboszczyka pana S. dzik mało nie rozszarpał. Jak Michał z panem K. chodził na głuszce, a pan dwa razy do suchego sęczka „bachnuł", bo mu się wydało z kształtu, że to głuszec. A on taki był zatokowany, że dalej śpiewał. Wreszcie pan omyłkę zobaczył i taki jego ubił.



„Ras". Fot. Dr. A. Kelus.

— A ja tej zimy czternaście wilków widział; przeszli ot, koło mnie, jak do tej sosny, szły kupą na wyprawę. Żeby tak wtedy parę strzelb — wzdycha Michał.

W tej chwili słyszymy ruch koło koni, które zaczynają chrapać i przysiadać na zadach, tuląc uszy, Leon powstrzymuje je z trudem. Na ciemnem tle lasu wydało nam się, że mignęły cztery światełka, jakby latarki elektrycznej.

— Ot, wy o wołku rozkazujetie, a tam dwa wołki poszły, bokom koło toho kusta, tylko oczy zaśwityły — mówi Danyło.

— Żeby tak w dzień! — biada Michał.

Nero tuli się do nóg i cichutko skowyczy, jużby teraz nie pogonił w las.

Na chwilę przerwane, znów zaczynają się opowieści o wilku, o jego przemyślności i sprycie, celuje w tych opowiadaniach zwykle milczący Michał. Wspomina, jak to zeszłego roku, przed polowaniem, gniazd wilczych szukał i widział wilczycę karmiącą podrosłe szczeniaki.

— Naje się, naje, co może, to chwyci prosiaka albo jagnię, a potem wraca do gniazda gruba, jak beczka, by to jedzenie z powrotem wypluć i dzieci nakarmić. Dobra wilczyca matka, że drugiej takiej nie znaleźć!

Coraz bliżej podsuwamy się do ogniska, czując zimny oddech nocy. Wyciągamy w stronę płomieni „postoły", które namoczone do włożenia teraz parują.

Słowa padają coraz wolniej, jeszcze tylko Leon wtrąca od czasu do czasu wspomnienia z wojny: jak Niemca do niewoli wziął i fajkę mu odebrał, a potem napchał do niej „titiunu" pół paczki i zakurzył; dym z niej poszedł, jak z parowoza, ale trzy dni go głowa

bolała i chodził „w obmoroku" — taki to naród chytry!

Zawijamy się w burki i pledy, kradnąc od koni nieco siana pod głowy.

— Bo jednak sosna, to twarde drzewo — decyduje dr. L.

Jest cicho. Wszystko poza ogniskiem wydaje się nieprzeniknioną czernią i zagadką, milczy uśpiona knieja. Tylko konie parskają i zapamiętale żują siano tak głośno i nieprzerwanie, że ktoś zdaleka mógłby myśleć, że to tnie sieczkarnia. Wysoko wbite w atrament nocy, sterczą czuby sosen, ale tak proste i nieruchome, że wydają się, jak wycinanki.

Nie mogę jakoś zasnąć i oderwać oczu od ogniska. Coś gwarzy tajemniczo płomień i tańczy skrętami złotemi, omijając mokre, szare drewno, które skwierczy, syczy i dymi białemi kłębami, wyciskając łzy z oczu. Wobec tego zmieniam pozycję, a Leon wyrusza po zapas lepszego paliwa, by narzucić na całą noc.

Błyska w mroku latarka i za chwilę słychać trzask łamanych gałęzi. Konie zastrzygły uszami i poruszyły się niespokojnie, a Nero, wyrwany ze snu, piszczy, chce być bliżej ognia. Po chwili wraca Leon, ciągnąc cały zapas drzewa. Padają na ognisko jakby rozwidlone, szerokie rogi jelenia, potem wali się rudy kloc sosnowy; ogień przyduszony czai się nad żarem, by wybuchnąć nagle jasnym snopem iskier, wprost w niebo, gdzie błyszczą gwiazdy.

Trzeszczy żywiczny pień i z igieł sosnowych leci niby rój złotych pszczół, które pożera ciemność, jedna wzniosła się najwyżej, ponad ognisko, a potem znikła — gwiazdy spadającej siostra.

Coś roześmiało się w ciemności, to puszczyk zbudził ciszę i załopotał skrzydłami. Srebrzysta, jak widmo, wypłynęła z mroku rozświetlona ogniem brzózka, drżąca listeczkami, rozjaśnił się czerwienią gruby pień niebosiężnej sosny, a potem znów nasunęła się ciemność aksamitna, tajemnicza, miękka, jak sadze. Z mroku napływają pytania i toczy się rozmowa najcichsza z własnemi myślami, a knieja choć uśpiona zdaje się odpowiadać. Coś trzepocze się nad oczami, niby jakieś skrzydła, czy nietoperz, czy sen?

Nie, przecież nie będę spała, muszę jeszcze nasycić oczy tym zniczem płonącym roztopionem złotem i wielką ciszą w objęciach kniei, gdzie tak łatwo odnaleźć siebie i wszystko zrozumieć.

Gdy otworzyłam oczy, niebo już szarzało, więc jednak spałam — czy to możliwe?

ZOFJA KELUS-LIPKOWSKA

TAJEMNICA KACZEGO STAWU

Ten kaczy stawek znaleźliśmy nieodrazu.

Jasio, któremu ktoś kiedyś o nim powiedział, przypomniał sobie o tem dopiero na drugi rok. Twierdził jednak, że nic łatwiejszego, jak tam trafić — tylko, że daleko: z piętnaście kilometrów. Długo i obszernie wyjaśniał drogę najpierw mnie, a gdy wkońcu nic nie zrozumiałem, zawezwał, jako znawców leśnych, mojego i swojego syna, poczem powtórzył im swoje exposé — jak to łatwo można było zauważyć — z wybitnemi odchyleniami. Tak tedy Jasio postanowił, że pojutrze zaprowadzi nas sam.



Fragment z jeziora Świteź. Fot. Inż. T. Śledziński.

W owo pojutrze, po długiej wędrówce (piętnaście kilometrów), w słoneczne popołudnie dotarliśmy wreszcie do niskiej łąki między wzgórzami. Była zarośnięta szuwarem. Wokoło drzemał las. Jasio usiadł w sposób zdecydowany i oświadczył nam, że to tu, ale staw wysechł.

— Odpocznijcie sobie — powiedział, wyciągając nogi, na które patrzył boleśnie. Apostrofę tę jednak kierował rzekomo nie do swoich nóg, lecz do nas, przyczem gestem staropolskiej gościnności wskazał nam, że miejsce jest.

Atoli nasze widocznie kwaśne i podejrzliwe miny zadrasnęły jego miłość własną. Po kilku bowiem dniach oznajmił nam zupełnie samorzutnie, że tamtym razem, zdaje się, zboczyliśmy trochę zanadto na prawo i że możnaby sprawdzić jeszcze raz. W gnębiącem go snać wewnętrznie poczuciu rozterki posunął się aż do tego, że ofiarował się zawieźć nas na miejsce karuchną, pomimo, iż od kilku lat miał przeświadczenie, że jest źrebna.

Cóż, jeżeli jechać — to można... Na dokładkę zabraliśmy Mincię, żeby sobie popatrzyła na świat.

I rzeczywiście: Jasio spisał się na całego. Trafiliśmy. Tylko, że z kaczek znów nic nie było, bo spłoszył je przedwcześnie jego syn, znawca leśny, Wojtek — i wielkie stado, może ze trzysta sztuk, jak wiatrem pędzona chmura, poszło hen, gdzieś za las.. Amen — powiedziałem na przypieczętowanie tej ceremonji, a że Wojtek, osowiały, patrzył za niemi, gdy szły ku chylącemu się słońcu, więc, pragnąc mu opromienić żal tego rozstania abstrakcyjnie - poetyckiemi możliwościami, zaproponowałem: „Dalej za słońcem, co jasną głowę w zachodnie zanurza piany". — Lecz on odpowiedział mi ponuro: — Uh, wuju, ale stado!...

Odtąd zaczęły się nasze wyprawy w to miejsce.

Stawek był nieduży, zaszyty w wysokopienny, wilgotny las; niewidoczny dla niewtajemniczonych, bo naokoło gęstym wałem obstąpiły go zarośla drobnych drzewek i krzaków. A kiedy się zasiadło w tym haszczu, żadne kacze oko nie dojrzało czającej się zasadzki.

Nieraz siedzieliśmy tam cicho długie godziny, wypatrując nad grzebieniem przeciwbrzeżnego lasu pojawienia się nadlatującego stada. Wtedy tuż przy głowach naszych trzepotały się krzykliwe sójki i świegotliwe sikory, a małe jastrzębie - kobczyki chodziły szeroko pod niebiem i zapadały od czasu do czasu wprost na nas w dół... Wędrowała w przestrzeń para dzikich gołębi... Rozwrzeszczana sroka leciała z plotkami na drugi brzeg i stamtąd gardłowała na cały las, huśtając się zawzięcie na wysokiej gałęzi... A sam staw wciąż spał.

Nieporuszony, pod cienką rzęsą, poznaczoną krętemi drogami — śladami kaczych spacerów — spał bez przerwy, głuchy na wszystkie głosy lasu. Spał posępny, nastroszony szczeciniastemi kępami szuwaru. Spał ciężkim snem — zwłaszcza w szare ranki, zaćmione od chmur... Pod zachód dopiero zaczynało mu się coś śnić. Wtedy nadchodziły nań rumiane kolory, złote lśnienia przelotnych uśmiechów, zwiewne majaki mgieł... Śpiewały mu wtedy cienko komary. A w jednem miejscu na brzegu — niedaleko krzaka, gdzie siadywałem — coś zaczynało cichutko kosić: pszszt... pszszt... pszszt... W wysokiej trawie równo, miarowo siekł jakiś niewidoczny kosiarz. Gnom jakiś, czy licho? Bo słychać. Bliziutko słychać. Czasem na chwilę przestanie i kosi znów. Ale żeby coś zobaczyć — niema nic... Może to chodził sam sen, gospodarz stawu?... A takiemu to wszak siano potrzebne, żeby sobie miękkie leże słać. Ale to trwało niedługo: tyle co przedzachodnich świateł w powietrzu. A zaraz potem, już pod zorzą, staw rudział mętnie, żółkł, szarzał... Zimnem wiało... Oblekał go cień...

Nie mogłem pojąć tego stawu. Nie mogłem go polubić. Coś było w nim nieżywego; zalatywała od niego jakaś głucha groźba, jakaś ciemna tajemnica, która zwarzyła w nim wszelki błysk życia. Ciążył nad nim jakiś śmiertelny zatajony grzech... Myślałem nieraz, że może topielec przez wszystkich zapomniany leży na jego płytkiem, grząskiem od błota dnie... Albo, że może nienawiść do człowieka, który przemocą depcze mu brzegi, wypiła mu radość z oblicza... A kiedy starałem się daremnie sięgnąć oczami do tajemnicy jego wnętrza, spostrzegałem się naraz, że to on właśnie przygląda mi się swoją bladą, upiornie nieruchomą źrenicą. Robiło mi się wtedy koło serca nieswojo...

Ażeby dostać się na brzeg stawu i módz podejść kaczki, gdyby tam już siedziały, trzeba było przedrzeć się cicho przez otaczający go zbity gąszcz, który chwytał za twarz, za ręce, za nogi — tysiącem iglastych gałęzi, ciernistych łodyg, zasupłanych zielsk, lepkich, rozczapierzonych pajęczyn. Zczasem zrobiliśmy jednak odkrycie: wynaleźliśmy coś, jakby ciasny i niski tunel, w którym, zgięci wpół, mogliśmy się posuwać bez większego bólu i bez hałasu — i przez który przedostawaliśmy się na sam brzeg jedynie za cenę łydek, krwawo podrapanych w jeżynach. Tamtędy więc chodziliśmy już stale — i w wyjściu z tego tunelu stawaliśmy na czarnym, niezarośniętym skrawku torfu, twarz w twarz ze stawem: — Na, przypatrz się, zły staruchu! Przecież jesteśmy tu znów! — I brnęliśmy dalej już naprzełaj: ktoś przez szuwar nadbrzeżny, kto inny przez wysoką trawę. Roztasowywaliśmy się swobodnie każdy na swojem stanowisku, zanurzeni po czubki głów w najgłębsze, najbardziej zarosłe wertepy, w zapadłe, najmocniej zacienione kryjówki, w największą debrę liści, igliwia i mchu...



Kacze tereny. Fot. Dr. J. Błeszyński.

...Czekamy na kaczki...

Leżąc na plecach, myślę o niebieskich migdałach i patrzę wprost przed siebie, na modry łan nieba, po którem kwiląc chodzą małe jastrzębie-kobczyki... Para dzikich gołębi powędrowała przestrzenią... Skrzeczą gdzieś sójki... Po czubach lasu idzie lekki szmer... Nie wiedzieć poco spuściłem oczy nad staw...

Patrzył na mnie nieruchomą źrenicą.

Na czarny szmat torfu, z pod gąszczu krzaków jeżyny, wypełzała zwolna w zygzakowatych skrętach wielka, metalicznie połyskująca żmija — wprost z naszego tunelu, przez który przeszliśmy przed chwilą...

K. SĄCHOCKI

To nie wzrok, to nie słuch...

To nie wzrok, to nie słuch — nie wiem sam jaki zmysł
nagle głowę odwracać mi każe!
Wówczas widzę nie zwiewne miraże,
których urok i czar wnetby stopniał i prysł,
lecz prawdziwe tętniące krwią stwory!

Pada strzał.. Czasem nie.., ale budzi się już
żądza znana każdemu drapieżcy,
kiedy dojrzy znienacka na ścieżce
upragniony swój łup — tak bliziutko — tuż, tuż!
Czy to myszka, co znika do nory,
czy odyniec, lub ryś, czy to rogacz, co mknie
pobekując w sprężystym poskoku —
— dziwny zmysł zatajony głęboko
zawsze w porę da znak i nie zwiedzie — o, nie! —
tak, jak zwodzi nas oko lub ucho!

To nie wzrok i nie słuch — jaki zmysł nie wiem sam
z życiem ziemi mnie zawsze jednoczy,
ale temu, kto uszy i oczy
ma jedynie i... broń — niech ktoś zada mi kłam! —
Puszcza wyda się martwą i głuchą!

L. von FALKENAU.

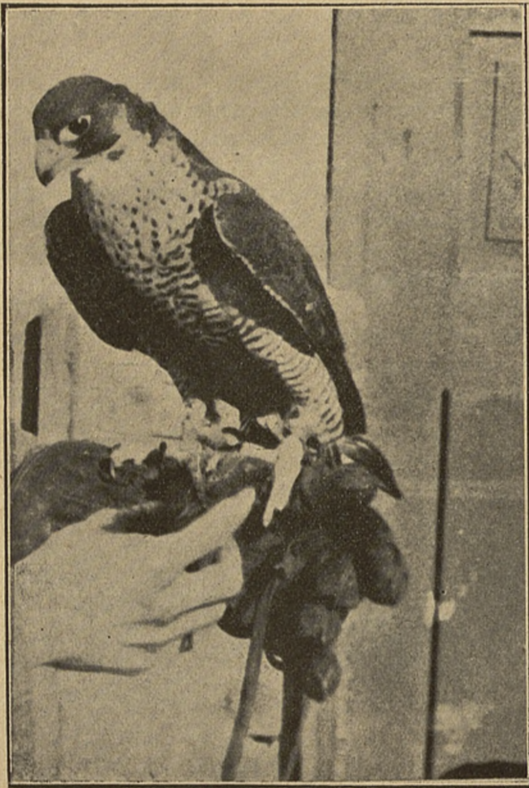


O SZTUCE UKŁADANIA PTAKÓW DRAPIEŻNYCH DO ŁOWÓW

(Ciąg dalszy).

Teoretycznie im drapieżnik jest starszy, im dłużej prowadził samodzielny tryb życia — tem trudniej go ułożyć. Za najłatwiejszy materjał do tresury uważają naogół ptaki młode w pierwszem pierzu, chociaż myślę, że na łatwość tresury wpływa nietyle wiek, ile indywidualna podatność i pojętność ptaka. Ułożyć bowiem można każdego drapieżnika, nadającego się do celów sokolniczych (o ile tylko będzie jadł w niewoli), tylko że u jednego nauka będzie trwała tygodnie, u innego miesiące, a nawet lata.

Wobec łatwości uzyskania dziczków (jastrzębi) niewarto tracić czasu na układanie tępych, niepodatnych ptaków. Jeśli widzimy, że jeniec nasz nie robi żadnych wyraźnych postępów w ciągu 10 dni, dwu tygodni, lepiej go wypuścić i schwytać sobie innego ptaka — tem więcej, że długotrwała tresura bardzo ujemnie wpływa na sprawność ptaka, obniżając ją nieraz o kilkadziesiąt procent. Oczywiście jeśli mamy do czynienia z sokołem wędrownym, lub z drzemlikiem, wówczas warto pomęczyć się czas dłuższy, aby tylko osiągnąć swój cel.



Karmienie sokoła na rękawicy. Fot. J. hr. Żółtowski.

Ogólne zasady tresowania dziczków są zupełnie inne, niż te, któremi posługiwaliśmy się przy ptakach chowanych od małego w domu. Z temi ostatniemi, jeśli się umiejętnie obchodzić, to poprostu niewiadomo kiedy zostają ułożone, z minimalnym tylko naciskiem z naszej strony. Gdy już całkowicie dorosną, odnoszą się do nas zawsze z zaufaniem, polegając więcej na naszym rozumie, niż na własnym instynkcie.

Z dziczkiem ma się sprawa zupełnie inaczej. Do człowieka odnosi się on w najwyższym stopniu wrogo, nieufnie, boi się go poprostu panicznie, każdy nowy krok w tresurze, to wyłom w jego przyzwyczajeniach, to coś przeciwnego, niż mu dyktuje instynkt — osiągać go musimy wysiłkiem naszej woli, zawsze silniejszej od woli naszego jeńca. Przy tem wszystkiem należy wziąć jeszcze pod uwagę i to, że dziczki są nieskończenie wrażliwsze, nerwowsze, „ambitniejsze" od ptaków wychowanych w domu. Dobre rezultaty w tresurze możemy osiągnąć jedynie dobrocią, łagodnością i cierpliwością, posuniętą do ostatnich granic. Nasze wymagania w stosunku do dziczka nie mogą być bezwzględne — często, a nawet przeważnie musimy iść z niemi na kompromis.

Z tem wszystkiem układanie dziczka nie jest takie trudne, jak to sobie prawdopodobnie wyobrażają czytelnicy. Poprostu trzeba umieć „podejść do duszy ptaka". Niestety, recepty, jak to zrobić, nie wyczytamy w żadnym podręczniku — znajdziemy tam jedynie pewne schematyczne wskazówki — kanwę, na której musimy snuć nitkę, polegając jedynie na własnej intuicji. Właściwej tresury dziczków uczymy się zawsze praktycznie — niestety, psując najczęściej pierwszego ptaka, którego układamy.

Tresura dziczków w dawnych czasach dzieliła się na trzy etapy. U k r ó c e n i e, to znaczy oswojenie go i zmuszenie, by jadł z ręki, u n o s z e n i e, czyli przyzwyczajenie, by pewnie i bez lęku siedział na rękawicy i u w a b i e n i e, to jest nauczenie go, by przychodził na rękawicę na wołanie, lub na wabidło. Czwartym etapem tresury było polowanie. Ukrócenie polegało na złamaniu indywidualności ptaka i doprowadzeniu go do stanu kompletnego rozbicia nerwowego, graniczącego z otępieniem. Osiągano to, głodząc jeńca przez kilkanaście dni, nie dając mu jednocześnie zasnąć ani na chwilę. Większość ptaków do ostateczności wyczerpana taką „nauką" poddawała się woli swego pana, to znaczy jadła z ręki, dawała się głaskać i t. p. Wszelkie bunty były karane nowemi głodówkami. Stopniowo drapieżnik przestawał być „sobą", stając się automatem karnym, sprawnie funkcjonującym, znoszącym z rezygnacją swój los. Tej wadliwej i brutalnej tresurze należy, jak sądzę, przypisać wysoką śmiertelność ptaków łowczych w sokolarniach dawnych czasów. Wyczerpane nauką i osłabione do ostatnich granic, ptaki dostawały przeważnie gruźlicy i ginęły najczęściej podczas pierwszego pierzenia się w niewoli.

Oczywiście dzisiejszy sokolnik podobnych metod układania nie stosuje. Prawda, że i obecnie głodówka jest jeszcze jedynym atutem w naszem ręku wobec ptaka, lecz stosujemy ją oględnie, starając się możliwie unikać wycieńczenia ptaka, tem więcej, że, jak się okazało, skuteczność głodówki, trwającej nieprzerwanie dłużej, niż 3 — 4 dni, jest bardzo problematyczna. Przegłodzony ptak traci apetyt i zanika w nim przykre uczucie głodu, a jedynie tylko osłabienie zwiększa się z dnia na dzień — o co nam przecież bynajmniej nie chodzi. Męczenia ptaka bezsennością nie stosujemy oczywiście zupełnie, jak również nie gnębimy go pragnieniem, dając mu od pierwszego dnia w niewoli wodę w miseczce, która musi być oczywiście tak postawiona, aby ptak miał do niej dostęp.

Po kilkunastogodzinnym wypoczynku, podczas którego drapieżnik do pewnego stopnia zapoznaje się z nową sytuacją, w której się znalazł, przystępujemy do właściwej tresury. Polega ona początkowo tylko na zaznajomieniu ptaka z naszym wyglądem. Osiągamy to, odwiedzając w ciągu dnia kilkakrotnie naszego jeńca, przebywając za każdym razem w jego towarzystwie chociaż 20 — 30 minut. Najwygodniej jest wstawić zawczasu do sokolarni stolik i krzesło i przy lampie (w pomieszczeniu, gdzie siedzi ptak, przez pierwsze dwa dni musi panować półmrok) zająć się

tam jakąś pracą, względnie czytaniem. Należy tylko unikać wszelkich gwałtownych ruchów, szurania krzesłem, stukania przedmiotami i t. p. Gdy drapieżnik oswoi się już nieco z naszą obecnością, wówczas od czasu do czasu zwracamy się w jego stronę, przemawiając do niego spokojnym głosem. Wieczorem, zupełnie pociemku, powoli podchodzimy do ptaka tak blisko, by go można było dotknąć ręką, poczem, gdy przestanie się szarpać, mówiąc do niego cicho, staramy się głaskać go, a właściwie dotykać — jeśli się zacznie ponownie szarpać, wówczas dotknięcie palcami zastępujemy muśnięciami jakiegoś dużego pióra (np. lotki z gęsiego czy indyczego skrzydła).

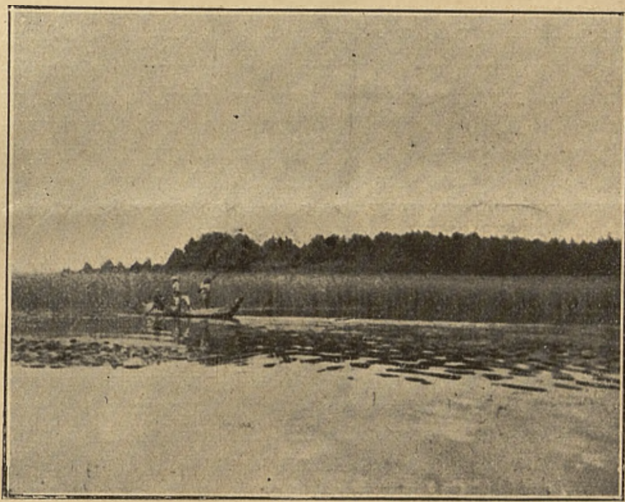
Głaskanie ptaków nie ma charakteru pieszczoty. Odgrywa ono ważną rolę w tresurze, wpływając w największym stopniu na oswojenie się naszego jeńca. Drapieżniki, z małemi wyjątkami, nie znoszą dotknięcia ręki ludzkiej. Młode wychowane w domu przyzwyczajają się do tego łatwo, same nie wiedząc kiedy, tem więcej, że dla puchowych piskląt pogłaskanie po grzbiecie, czy przykrycie dłonią, jest równoznaczne z ogrzewaniem piersią matki. Dla dziczka natomiast jest to coś najzupełniej niezrozumiałego, przeciwnego jego nautrze. W zasadzie łatwiej znoszą one dotknięcie do piersi i brzucha, niż do grzbietu, pociemku jednak zachowują się w obu przypadkach jednakowo, przypuszczam więc, że nietyle chodzi tu o miejsce, które dotykamy, ile groźnem wydaje się dla ptaka zbliżanie się naszej dłoni z góry, a więc od strony, z której jest on zupełnie bezbronny. Początkowo dniem czy w półświetle głaszczemy naszego ptaka po piersi, szyi, palcach i t. p., staramy się jednak możliwie szybko przyzwyczaić ptaka do głaskania go wzdłuż grzbietu „od głowy do ogona". Później, gdy ptak trochę oswoi się, kilkanaście takich „pass" działa na niego uspokajająco, poprostu niejako magnetyzując go.

Od drugiego dnia pobytu w niewoli rozpoczynamy próby karmienia drapieżnika. Wprawdzie zwykle nie chce on jeszcze nic jeść, lecz pokazywanie mu pokarmu działa zaostrzająco na jego apetyt. Zasadniczo zachowujemy się nadal podobnie, jak i pierwszego dnia. Po zajęciu miejsca w sokolarni, gdy ptak się uspokoi, pokazujemy mu zdaleka zabitego wróbla, lub kawałek mięsa. Nie zwracając na niego (pozornie) żadnej uwagi, poruszamy pokarmem tak, by go drapieżnik zauważył. Jeśli dostrzeżemy, że reaguje na ten widok, przyglądając się z zainteresowaniem pożywieniu, robiąc przytem takie ruchy dziobem, jakby przełykał ślinę — wówczas odrywamy mały kawałek mięsa, lub nóżkę z wróbla i delikatnie podrzucamy ją ptakowi. Jeśli zje, po chwili zbliżamy sie do drapieżnika troszkę i podrzucamy drugi kawałeczek, trzeci podajemy mu do dzioba w wyciągniętej ręce. Podawać trzeba albo tępemi pincetami, albo w rękawicy, gdyż często, szczególnie jastrząb, stara się schwytać pokarm nie dziobem, a łapą, może przytem zawadzić pazura o nasze palce.

Jak wspomniałem, zwykle jeszcze drugiego dnia nasze namowy, by ptak jadł, nie odnoszą skutku. Nie forsujemy go też zbytnio. Wieczorem przerabiamy następujące ćwiczenie. W zupełnej ciemności odczepiamy ptaka od stojaka lub ciężaru, do którego jest przywiązany i zmuszamy go do wejścia na rękę. Sadzamy go na rękawicę najczęściej siłą, biorąc krótko za pęta i wciągając na nią. Jeśli to się nie powiedzie, unosimy go na pętach do góry i po chwili, gdy ptak zwiśnie nam na ręku głową na dół, drugą wolną rękę podsuwamy mu pod grzbiet i unosząc go pomagamy mu do usadowienia się na dłoni. Jeśli jest ciemno, drapieżnik nie usiłuje się zrywać, tylko kurczowo trzyma się rękawicy. Głaszczemy go kilkakrotnie, dotykamy, bierzemy palcami za nogi, dziób, cały czas mówiąc do niego. Wreszcie próbujemy bardzo powoli i ostrożnie przejść z nim kilka kroków. Po kilku — kilkunastu minutach przerywamy ćwiczenia, sadzając ptaka na stojak i przywiązując. Po chwili zapalamy światło, aby drapieżnik mógł sobie zrobić tualetę i uspokoił się nieco.

Trzeciego dnia tresury, postępując z ptakiem jak wyżej, staramy się zachęcić ptaka do jedzenia. Próby powtarzamy kilkakrotnie w ciągu dnia. Gdy wszystkie nasze zabiegi pozostają bez rezultatu, pozostawiamy wieczorem przy ptaku kawałek mięsa, lub wróbla (nie więcej niż 20 — 25 gr.). Jeśli nie weźmie jedzenia przy nas przy sztucznem świetle, odsuwamy zasłony z okien, by rano w świetle naturalnem dostrzegł mięso i w spokoju mógł je zjeść. W ten sposób przerywamy głodówkę, przez co zwiększamy łaknienie ptaka, czyniąc go bardziej podatnym dla naszych żądań.

Następnego (czwartego) dnia, niezależnie od tego czy ptak zjadł mięso czy nie, powtarzamy próby karmienia go z ręki. Przeważnie w ciągu najdalej 4—5 dni drapieżnik zaczyna jeść z ręki. Wówczas dalsze oswajanie go zależy już tylko od umiejętnego i łagodnego postępowania z nim. Korzystając z obchudzenia wywołanego głodówką, możemy śmiało obficie karmić naszego jeńca. Dzienną rację pożywienia dzielimy na drobne kawałeczki i przy każdem wejściu do sokolarni podajemy mu kilka smacznych kąsków. Gdy siedzimy przy ptaku czas dłuższy, co kilka minut wstajemy od roboty, karmiąc go potrosze.



Na jeziorze Sława (Wlkp.). Fot. S. M.

Sprawa przedstawia się znacznie gorzej, gdy nasz jeniec odmawia uparcie przyjęcia jakiegokolwiek pożywienia i to nietylko podanego mu ręką, lecz nawet podrzuconego. Czasami uda się go jeszcze namówić jakąś sztuką. Tak np. zmusiłem kiedyś gołębiarza do jedzenia w sposób następujący. Zauważyłem, że gdy zbliżam się do niego, przez kilka chwil próbuje straszyć mnie, szeroko otwierając dziób. Korzystając z tego wrzuciłem mu szybko do ust kawałek świeżego mięsa. Wyrzucił go natychmiast, następnych kilka również, ale widać było, że niełatwo mu to przychodziło. Wkońcu nie wytrzymał, połknął jakąś głębiej wrzucona porcję, po chwili znów połknął kawałek, po trzeci kęs sam już sięgnął, wyszarpując mi go z palców. Od tej chwili zaczął już dobrze jeść. Czasami jednak nie pomogą żadne sposoby — ma się wrażenie poprostu, że drapieżnik postanowił zagłodzić się na śmierć. Barbarzyńskie przedłużanie absolutnej głodówki więcej niż 5—6 dni przestaje być metodą tresury, a staje się zwykłą torturą.

W Persji, gdzie drapieżne ptaki cieszą się wielką sympatją, a sokolnictwo jeszcze i dziś stoi na wysokim poziomie, przywiązywano takiemu upartemu pta-

kowi do nogi wstążkę z wypisaną modlitwą, zachęcającą go do założenia gniazda gdzieś w pobliżu, aby młodemi swemi wynagrodził sokolnikowi daremny trud, poniesiony podczas układania go i — wypuszczano na swobodę. Nam również nie pozostaje nic innego do zrobienia, boć przecież nie przypuszczam, by ktoś nawet w imię „wyższych pobudek ochrony zwierzyny" zechciał dorzynać umęczonego niewolnika kozikiem, czy też pozbawiać go życia w jakiś inny sposób.

Załóżmy jednak, że nasz jeniec, jak to zwykle bywa, po kilku dniach zaczął jeść z ręki. Podając mu pożywienie, postępujemy podobnie, jak i przy nauce młodego ptaka, to znaczy przy każdym kawałku mięsa podajemy jakiś sygnał, ustalony raz na zawsze. Już wkrótce dziczek skojarzy ten dźwięk z tak przyjemną dlań chwilą karmienia. Jak tylko zauważymy, że jeniec przestał się nadmiernie szarpać, sadzamy go na normalny bramkowy stojak.

Z chwilą gdy drapieżnik zacznie jeść z ręki, przystępujemy do „unaszania" go i to nie tak, jak dotychczas w sokolarni, lecz na otwartem powietrzu. Spacery powinny trwać około 1 godziny dziennie. Pierwszy odbywamy, gdy jest już zupełnie ciemno, następne — dniem. Na spacerze karmimy ptaka z ręki, głaszczemy go, zsadzamy od czasu do czasu na jakąś gałąź, ucząc go schodzenia i wchodzenia na rękawicę. Aby nam się przypadkowo nie wyrwał z ręki, bezpieczniej jest na spacerach przywiązać do jednego z pęt kawałek rzemienia, który kilkakrotnie okręcamy koło rękawicy. Dziczek początkowo bardzo często zeskakuje z rękawicy, wówczas, aby ochronić jego upierzenie, odsuwamy szybko dłoń, w której trzymamy ptaka, od ciała, a gdy się przestanie trzepotać i zwiśnie na pętach, wolną ręką dopomagamy mu do wejścia na rękawicę. Najpóźniej po 10 dniach tresury przystępujemy do napuszczania dziczka na żywą zdobycz.

Przedtem jednak musimy sobie zrobić d ł u ż c e, które zresztą będą nam stale potrzebne do dalszej tresury. Dłużcami nazywamy kilkunastometrową linkę, zrobioną z paska skóry, szerokiego 5 do 10 mm. Najprościej jest zszyć na „gładko" opowiednią ilość surowców, używanych do wiązania uprzęży. Dłużce takie kosztują znacznie taniej, niż wycięte z jednego płata skóry, a nie ustępują im w niczem. Do jednego ich końca umocujemy karabińczyk obrotowy, służący do przyczepiania drapieżnika do pęt. Dłużce służą do trzymania ptaka, gdy ten je na ziemi, lub kąpie się, w pierwszym rzędzie jednak do uniemożliwienia ptakowi w początkach tresury ucieczki w czasie lekcji na wolnem powietrzu. Muszą one być tak długie, by obciążony niemi ptak nie był w stanie przelecieć więcej, niż kilkadziesiąt metrów. Niektórzy sokolnicy uważają, że można zastąpić dłużce z surowca kordonkiem takim, jakiego używamy na szczupaki. Nie radzę jednak robić tego. Wogóle należy, zdaniem mojem, w miarę możności unikać sznurków przy tresurze ptaków, zastępując je wszędzie, gdzie się da, rzemieniami. Miałem już kilka katastrof, wywołanych splątaniem się kordonka w trakcie napuszczania ptaka. Jedna z nich zakończyła się tak poważnem potłuczeniem dziczka, ściągniętego raptownie na zmarzniętą ziemię (grudę) w chwili chwytania gołębia, że zniechęcił się on na kilka miesięcy do atakowania żywej zdobyczy. Dłużce hamują lot ptaka nietyle ciężarem (waga 10 m. dłużców nie przekracza 300 — 400 gr.), ile tem, że wlokąc się po ziemi, nie dają mu się wznieść do góry, względnie stawiają tak znaczny opór w powietrzu podczas lotu, że zmuszają drapieżnika do opadnięcia na ziemię lub drzewo.

Napuszczamy na żywego ptaka (gołębia) najlepiej na naszym terenie myśliwskim. Podcinamy ofierze przed lekcją skrzydła tak, aby zaledwie mogła podlatywać, a do nogi przywiązujemy kilkunastometrowy sznurek, który przeciągamy do miejsca, z którego będziemy napuszczać. Z obciążonym dłużcami drapieżnikiem podchodzimy do gołębia, posuwając się tak, aby własnem ciałem przysłonić ptakowi zdobycz, by nie zerwał się przedwcześnie. Gdy zbliżymy się na 15—20 kroków do gołębia, trzymając w lewem ręku dłużce tak, aby się nie splątały, wysuwamy prawą rękę z ptakiem naprzód i zachęcamy go do uderzenia hasłem „bij". Gdy zerwie się w kierunku zdobyczy, puszczamy dłużce, aby mu nie przeszkodzić w uderzeniu. Oczywiście dnia poprzedzającego lekcję głodzimy ptaka, lub najwyżej dajemy mu pół wola rano (50—60 gr. mięsa dla samca sokoła lub jastrzębia i 60 — 75 gr. dla samicy). Czasami drapieżnik boi się początkowo uderzyć z ręki — wówczas po kilkunastu minutach powtarzamy lekcję, sadzając go w pobliżu ofiary na gałąź, żerdź w płocie, w ostateczności nawet na ziemię. Przeważnie jednak rzuca się na zdobycz bez wahania, gdyż naturalny instynkt drapieżnika jest silniejszy od poczucia niewoli i świadomość tego, że jest na ręku u swego najgorszego wroga — człowieka.

Dziczek najczęściej po schwytaniu gołębia próbuje z nim uciekać. Aby do tego nie dopuścić, chwytamy za sznur przywiązany do nogi ofiary i przytrzymujemy ją na miejscu. Teraz zbliżamy się powoli do drapieżnika, trzymającego zdobycz w szponach, siadamy przy nim i pozwalamy mu najeść się do syta, jeśli próbuje uciekać, przytrzymujemy go w dłużcach. Podczas jedzenia próbujemy go głaskać, w tym wypadku nigdy z przodu, gdyż będzie myślał, że chcemy mu odebrać łup. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, powtarzamy lekcję napuszczania na żywą zdobycz jaknajczęściej, najmniej dwa—trzy razy na tydzień.

Przechodzimy od razu potem na serje z kilku gołębi. Odbieranie zdobyczy dziczkowi przebiega łatwiej, niż u ptaka chowanego od małego. Postępujemy przytem podobnie, jak to już było opisane („Łow. Pol." nr. 22). Napuszczanie na żywą zdobycz przeprowadzamy przedewszystkiem w tym celu, aby przyzwyczaić ptaka, by nie uciekał od nas z łupem. Gdy to osiągniemy, robimy lekcję na pół-dłużcach, następnie zaś na średnio podciętych gołębiach, z ptakiem bez dłużców. Jeśli rezultat będzie pozytywny, to w zasadzie z takim ptakiem można już polować. Jeśli bowiem schwyta zwierzynę, na którą go napuścimy, da się na niej wziąć z łatwością. Gorzej będzie gdy chybi — ale wówczas puszczamy w ruch ukryte w torbie sokolniczej gołębie z podciętemi skrzydłami — i zwykle po chwili idziemy dalej szukać szczęścia z drapieżnikiem na rękawicy. Cała wyżej opisana tresura, z ukróceniem włącznie, nie powinna trwać dłużej, niż trzy tygodnie.

Przychodzenia na rękę uczymy dziczka zupełnie podobnie, jak ptaka młodego (patrz „Łow. Pol." nr. 22), z tą tylko różnicą, że w czasie lekcji trzymamy początkowo drapieżnika lewą ręką za koniec dłużców, aby go powstrzymać, gdy będzie próbował uciekać. Jeżeli mamy sokoła — zapoznajemy go z wabidłem.

Podczas tresury dziczków można na dużą skalę stosować głodówki. Jeśli będą one przegradzane obfitem karmieniem po udanem napuszczaniu — nie wywierają szkodliwego działania, a znakomicie ułatwiają naukę.

(D. c. n.).

Dr. AUGUST DEHNEL

W OBRONIE CIETRZEWI I POLOWAŃ NA CIETRZEWIE

(Dokończenie).

S t r z e l a n i e c i e t r z e w i z p o d n a g a n k i i p o d j a z d. — W „Podstawach łowiectwa" znajduję takie zdanie: „Przy odstrzale z podjazdu i z pod naganki, o ile oczywiście nie są te polowania za często powtarzane"... Dalej nie cytuję, albowiem wszystko już jest jasne. O ile chodzi o polowanie z naganką na Kresach Wschodnich i w reszcie kraju, to powiedziałbym, że najistotniejsza różnica między niemi polega na następującem: — gdy zagra trąbka i dalekie echa zaczną sobie podawać odgłosy ruszającej naganki, myśliwy na stanowisku, jeśli ma to miejsce na Kresach Zachodnich lub w Środkowej dzielnicy kraju, pomyśli zwykle: „ile na mnie wyjdzie", zaś na Kresach Wschodnich — „co"? I to właśnie „co", skala jego możliwości, stanowi największą wartość tych polowań, decyduje o stopniu i sile przeżywanych wrażeń i emocji. Nie umniejszajmy więc ich, nie zwężajmy tej skali, jeśli nie zachodzi wypadek konieczności.

Raz tylko byłem na polowaniu z naganką, gdy w jednym dniu padło 6 cietrzewi, zwykle 1 — 2, często żaden. Lecz jakąż zawsze emocję na linji strzelców wywoływał widok lecącego stada czarnych kogutów! „Nalecą na strzał, czy nie?" — Ponieważ polowanie z naganką odbywa się w tym samym terenie raz na sezon, nie mogę tu podnieść żadnych zastrzeżeń i uważam za zbędne zamykanie odstrzału w miesiącach od listopada do stycznia.

Strzelanie z podjazdu, o ile będzie wykonywane przygodnie, np. przy objeździe terenu, nie może być również zwalczane. — O ileby jednak miało być uprawiane zbyt często, z nadmiarem rozmiłowania w tem polowaniu, to, poza niebezpieczeństwem wypłoszenia cietrzewi z terenu, zredukowałoby zbytnio liczbę kogutów do odstrzału na toku, względnie mogących być potem najpiękniejszą okrasą polowań z wyżłem. Nadmiar gorliwości i rozmiłowania w polowaniach z podjazdu radzę wyładowywać na podjeździe wron i srok, szczególnie w porze wiosennej. Kto usłucha tej rady i spróbuje, przekona się, jaki to hazard i realna korzyść dla łowiska.

Zapowiedziałem wysunięcie zastrzeżeń co do p o l o w a ń n a t o k a c h. Och, tylko proszę nie przypuszczać, bym nie był ich entuzjastą. — Ale zacznę jednak od przykrego zgrzytu. Weyssenhoff „wielki znawca prawdziwego myślistwa" zatytułował rozdział o polowaniu na tokach „chłopskie polowanie"! — A dlaczego? — Gdyż było to polowanie z budki i ponieważ padło tego ranka, o ile sobie przypominam ten opis, 8 kogutów (i 2 cieciorki). — A w i ę c ż a d n y c h r z e z i p r z e d e w s z y s t k i e m! — Bo na czemże polega olbrzymi czar i urok tych polowań? — Przecież do jego ujęcia, opisu, potrzeba było zawsze największego napięcia prawdziwego talentu pisarskiego, pod dodatkowym warunkiem pełnego wczuwania się w przejawy życia przyrody, s ł y s z e n i a i r o z u m i e n i a jej muzyki, w i d z e n i a wrażliwemi oczami jej subtelnych obrazów. — W przeciwnych wypadkach mieliśmy twory poronione. A w ogniskowej tamtych opisów nie było nigdy cyfr, a jeśli były, to zadecydowały o brzydkim tytule. — Otóż rada... Namówić zawsze na pójście do budki jakąś miłą niewiastę. Wybierać oczywiście śród miłośniczek przyrody. Z budki strzelić przez ranek jednego koguta, by nie było jakiegoś gadania i nieuzasadnionych posądzeń. Pod warunkiem, że towarzyszka będzie naprawdę miła i miejsce na budkę też dobrze wybrane, będziemy mieli z takiego polowania istotnie niezatarte wspomnienia.

Zastrzeżenie drugie, to — ż a d n y c h k a r a b i n k ó w n a t o k a c h. — Ach, jak się ucieszyłem, gdy znalazłem w „Podstawach łowiectwa" ostrą odprawę na ten temat. Do podanych przez p. Świętorzeckiego przykładów (str. 51 i 135) dodam, że pokazywano mi budkę, którą okupował pewnej wiosny taki zwolennik strzelania kulowego i z której przez parę ranków 6 (sześć) kogutów zostało pokaleczonych kulami. Wszystkie poszły na podkarmianie lisów! — Czyż to nie lepiej wyasygnować na ten cel 8 — 10 zł. i kupić przeznaczonego na zabicie konia?

Naturalnie żadnych zastrzeżeń, a same superlatywy dla polowań bez budki, ze swobodą ruchu „gdzie oczy i słuch niosą po szerokiej przestrzeni tokowiska" *), a więc z podkradaniem się i wabieniem.



Cichy wieczór na jeziorze. Fot. Z. Czarkowski.

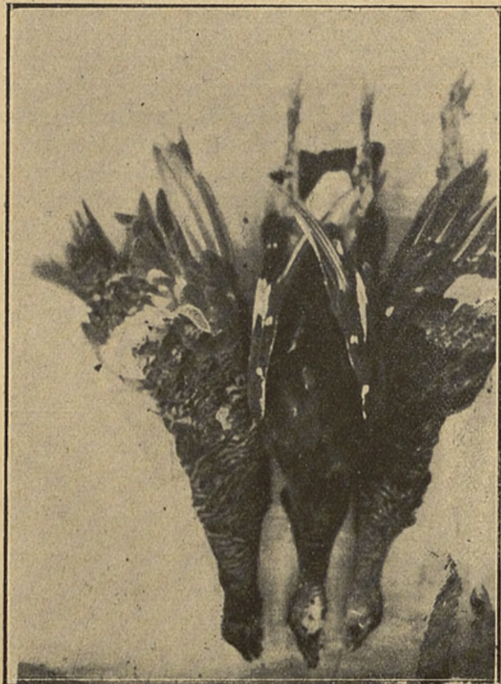
Przepiękny i pełny opis tego rodzaju polowania mamy w „Pieśni puszczy" W. Korsaka. Oczywiście w razie osiągnięcia „hrehorowej" umiejętności w wabieniu, nie nadużywać tego i strzelać przez ranek 1 — 2 koguty.

Przypominam sobie bardzo oryginalną przygodę. — Wracamy z toków głuszcowych z miłym kompanem na polowaniu p. G. Słoneczny śliczny ranek — jeszcze wczesna godzina. Samochód stacza się cicho z łagodnego wzniesienia wąską drogą leśną. Zauważamy porywające się przed nami dwa koguty i kurę. Jeden kogut odlatuje w bok, drugi z kurą przelatuje przez drogę i wyraźnie zniżają lot przy pobliskich krzakach. Zatrzymujemy samochód — szyby bocznych okienek na dół i jadący z nami strażnik zaczyna wabić. Kogut odpowiada, strażnik znów zajadle, wyzywająco „czuszyka". Łopocą skrzydła, kogut podleciał bliżej. Czuszyknął i zaczyna tokować. Wypatrujemy go w gąszczu i nagle dostrzegam koguta w malutkiem okienku między gałęziami. Naprowadzam na nie głowę p. G., który, mając mniej zapakowaną strzelbę, zdołał się już uzbroić. Zobaczył. Widzę, jak kombinuje, by przez to okienko przepuścić śrut. — Strzał — kogut jest. Zabity na toku z okienka samochodu!

Niedawno przez pewnego posiadacza karty łowieckiej, ubiegającego się o tytuł strzelacza, został wynaleziony nowy jeszcze sposób wiosennych łowów na cietrzewie. Ma on zastosowanie w godzinach południowych, gdy koguty śpią po sośniakach. — Mając pewne zastrzeżenia co do „szlachetności" tych łowów, nie będę — mimo iż to jest nowość i okazja po temu —

*) W. Korsak. — „Rok myśliwego".

podawał na nie recepty. Poznałem je, wpadłszy w roku ubiegłym w te łowy. Na szczęście nie miałem wówczas „rozkładu", albowiem miałbym z nim kłopot nielada. Musiałbym bowiem po zastanowieniu się stworzyć dla niego nową, szczególnie czarną listę w moim dzienniku myśliwskim.



Z polowania z wyżłem na cietrzewie.
Fot. Dr. med. wet. K. Czelny.

Pozostało mi jeszcze skruszyć kopję w obronie najpiękniejszego podług mego gustu polowania na cietrzewie, na które dokonano już ataku w prasie. Chodzi o polowania z wyżłem. — Uzasadniało się to koniecznością ratowania ginącego cietrzewia i popierało przykładem skutków zamknięcia polowania z wyżłem na głuszce. Nie zgodzę się z tem stanowiskiem. Przykład głuszców nie ma tu zastosowania. Stan ich bowiem u nas pozwala na to jedynie, by część i to niewielka myśliwych naszych miała w roku do odstrzału po jednym lub najwyżej po kilka głuszców. W tych warunkach — dzięki specyficznym właściwościom pieśni i rodzaju polowania na nie — oczywiście każdy myśliwy woli wpisać do swego dziennika tego jednego, czy parę głuszców w sezonie wiosennym. Wiosenne polowanie na cietrzewia nie posiada po pierwsze tych charakterystycznych właściwości i wartości, po drugie nie jest jeszcze z cietrzewiami tak beznadziejnie, byśmy mieli uciekać się do tak daleko idących ograniczeń. Cietrzewie, to jeden z najwdzięczniejszych rodzajów zwierzyny dla polowań z wyżłem, a przecież każdy prawdziwy myśliwy musi być w pierwszym rzędzie entuzjastą tego polowania. — Rosyjskie przysłowie myśliwskie mówi: „ochotnik bez sobaki eto nieczto niesowierszennoje i niepołnoje". — A *les exceptions confirment la règle* i tylko pod tym kątem widzenia rozumiem postawienie u nas sprawy głuszca.

Ja osobiście nie oddam jednego dzika, strzelonego przy gończych, za dziesięć z pod naganki, jednego rogacza z pod gonu za dwadzieścia z podjazdu i — za możliwość zabicia kilku leniaków z pod pięknych stójek zgodzę się nie strzelać, a tylko być na toku. Czy jest dużo piękniejszych i nawet równych emocyj tej, jaką przyżywamy, gdy przed skamieniałą na stójce parą psów zaczyna grzmieć od uderzeń potężnych skrzydeł wielki, rozrośnięty krzak łozy i wystrzela z niego lśniąca sylwetka leniaka! Lub także lśniąca sylwetka dobrze już wyczerniałego młodego koguta, wykwitająca przed psami na tle sośniaków podczas polowań na „późne pardwy". I jak taki kogut pięknie zdobi potem jasny bukiet pardw!

Reasumując krótko moje wnioski i uwagi. — A więc w pierwszym rzędzie roztoczenie czynnej opieki nad terenami cietrzewiemi przez łagodzenie w granicach naszych możliwości skutków ujemnych wypasu bydła i innych form eksploatacji terenów, oraz przez nieodbieranie koniecznego dla egzystencji cietrzewi pożywienia, a nawet przez starania o zwiększenie jego ilości. — Naturalnie — energiczne tępienie skrzydlatych i czworonożnych wrogów cietrzewia, nie zapominając też o ochronie przed dwunożnymi: kłusownikami, pętlarzami i innymi „ponęciarzami".

Polowanie. — Z początkiem sezonu polujmy z wyżłem tylko na koguty — oczywiście przytomnie: leniaki bez ograniczeń, farbowiki — pozostawiając w małych stadkach minimum 1, w większych minimum 2 niestrzelane. — Potem dojdą ewentualnie selekcyjne kury. W zimie tylko przygodny odstrzał do końca stycznia podczas polowań nagankowych i z podjazdu. Wiosną chłońmy więcej piękna obrazów i muzykę przyrody, zadowalając się skromnym odstrzałem*).

Jeślibym miał ustalić skalę wartości dla cietrzewi, strzelanych w różnych porach i okolicznościach — np. w skali od 1 do 10, to pełną dziesiątkę dawałbym tylko za leniaka, strzelonego z pod stójki, oraz za koguta wiosną, podwabionego i strzelonego bez budki. Za młodego koguta, strzelonego z pod psa w czasie późniejszym — koniec września, październik — 9, a czasem nawet i 10, w razie specjalnie efektownych okoliczności strzału. Zwykłe, wyraźne farbowiki strzelane z pod wyżła po 8, „usiedziany" kogut z budki — maximum 6. To samo z podjazdu. Z nalotu w nagankach 6 — 8, zależnie od okoliczności strzału. Przy wszelkich innych polowaniach — w okolicy 0 (zera).

Kura, jeśli nie „selekcyjna", to oczywiście w dalekich już minusach — i rachunku i przyjemności, czego — rzecz prosta — każdy, kto to rozumiał, czy zrozumie, będzie się mógł wystrzegać. A jestem dziwnie przekonany, że każdy, poza beznadziejnymi jedynie „strzelaczami", musi to wyczuwać. — Nie róbmy więc tego. I nie czekajmy na zarządzenia ustawowe. Niech każdy z nas stara się przyczynić w swoim zakresie do tego, by stworzyć warunki, przy których coraz częściej muszka na lufach naszych będzie miała okazję wyskoczyć przed rozskrzydloną sylwetkę czarnego, lśniącego koguta.

LUDWIK RADYŃSKI.

---

*) Wywody Sz. Autora są słuszne. Niemniej w warunkach egzystencji cietrzewia coś się psuje. Mimo istniejącego od dłuższego czasu kompletnego zakazu strzelania kur na obszarze całego państwa, prócz województw kresowych, przyrostu cietrzewi i takiej widocznej zmiany ku lepszemu, jaka ma miejsce z głuszcami, u cietrzewi nie widzimy; muszą być jeszcze jakieś specjalne ogólnej natury przyczyny, które powodują upadek stanu cietrzewi. Należałoby przyczyny te ujawnić. Może ci, u których stan cietrzewi się poprawił, zechcieliby się w tej kwestji wypowiedzieć, wskazując drogi, jakiemi do poprawy stanu cietrzewi doszli. (Przyp. red.).



Niedźwiadek przywarował... Do art. „Łowy na niedźwiedzia w Puszczy Białowieskiej". (Ze zbiorów Instytutu Badawczego Lasów Państwowych). Fot. Dr. J. Karpiński.

ŁOWY NA NIEDŹWIEDZIA W PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ

Tytuł ten zastanowi niejednego czytelnika. Jakżeż to—czyżby w Puszczy Białowieskiej występowały niedźwiedzie i to w takiej ilości, że łowy na królewskiego zwierza są dostępne dla zwykłego śmiertelnika?

Pośpieszę zatem wyjaśnić, że nie chodzi tu o łowy na wielkiego puszcz imperatora, na dzikiego, groźnego dla śmiałka-myśliwego odludka. Były to łowy całkiem inne, aczkolwiek nie pozbawione ani balsamicznego tchnienia romantyzmu, ani posmaku ciekawej przygody. Zanim podzielę się z czytelnikiem swemi wrażeniami, pozwolę sobie kilka słów powiedzieć na wstępie.

Obecnie *) w Puszczy Białowieskiej, jak zresztą wiadomo stałym czytelnikom „Łowca Polskiego", przeprowadza się próbę regeneracji niedźwiedzia nizinnego. Równocześnie stosuje się dwa sposoby. Jeden z nich polega na wypuszczaniu na wolność podchowanych w klatce, prawie w zupełnej izolacji od ludzkiego towarzystwa, niedźwiadków sprowadzonych z zachodniej połaci Rosji Sowieckiej. Drugi sposób — to stopniowe oswajanie z warunkami dzikiego życia w Puszczy niedźwiadków urodzonych na miejscu — przez niedźwiedzicę, trzymaną w specjalnej klatce o szerokiej rozstawie prętów, pozwalającej na swobodne wychodzenie malców.

Miejsce hodowli niedźwiedzi t. zw. „Niedźwiedziówka" znajduje się w zapadłym kącie Parku Narodowego w Białowieży, gdzie nie dociera ruch turystyczny i gdzie wstęp do niedźwiedzi mają tylko pilnujący ich 2 strażnicy oraz osoby związane z hodowlą. Klatka z niedźwiedzicą Lolą i jej dziatwą — oraz przylegająca do niej klatka z nowoprzybyłemi z Rosji Sowieckiej — via Ogród Zoologiczny w Warszawie — 4 niedźwiadkami (2 samcami i 2 samiczkami) stoją pośrodku niewielkiej, słabo zadrzewionej polany — halizny, otoczonej zewsząd mrocznemi ścianami Puszczy. Opodal, w niedużej stosunkowo odległości, przepływa rzeka Hwożna.

Potomstwo Loli — samczyk i samiczka — wyglądają teraz naprawdę rozczulająco — małe puszyste kulki, na krótkich łapach, z grubemi brzuszkami i z tępemi pyszczkami, o wesoło błyszczących oczkach. Humor dopisuje malcom wyśmienicie — ciągle się bawią, borykają, włażą na drzewa, urządzają wyprawy aż nad Hwożną, a spłoszone czemkolwiek kuśtykają do troskliwej matki — trwożliwie prychającej z lada powodu.

Do ludzi maleństwa odnoszą się dość nieufnie, mamy więc nadzieję, że po urośnięciu i usamodzielnieniu się będą unikać ludzi — co tylko na dobre im wyjdzie! Z czterech nowych niedźwiedzi sowieckich — jeden samiec ma chyba ponad 2 lata i jest bardzo wyrośnięty, krępy, o szerokiej głowie. Ubarwienie futra ma ciemno brunatne. Jedna z samic, młodsza i znacznie mniejsza od niego, ma ubarwienie i budowę podobną. Druga para: większy samiec i mniejsza samica, odznacza się wydłużonym kształtem głowy i pyska, oraz szarawem umaszczeniem, białawem na podgardlu.

*) Na początku czerwca r. b. (przyp. aut.).

Tryb życia niedźwiedzi jest ściśle ustalony. O 7-ej rano dostają smakowitą zupę z mięsa wołowego z kartoflami i kośćmi, oraz suchary; o godz. 12-ej (Lola z małemi) i 13-ej (starsze niedźwiadki) otrzymują w wielkiej miednicy na długim drągu mleko z miodem, o 4-ej po południu znów mleko z miodem. Oprócz tego przez cały dzień gryzą niedojedzone suchary, jarzyny (buraki lub jabłka), albo kości.

Kąpiel od czasu do czasu urozmaica nudny bieg dostatniego życia. Wstawia się wówczas do klatek koryta z wodą, w których niedźwiedzie z rozkoszą się pluskają. 4 niedźwiadki z chwilą dojrzenia jagód mają być wypuszczone czemprędzej — zanim się nie przyzwyczaiły zanadto do widoku troszczących się o nie ludzi *). Jak ważną jest izolacja niedźwiedzi, przeznaczonych do zdziczenia od towarzystwa ludzi — przekonało nas smutne doświadczenie z uprzednio wypuszczoną czwórką niedźwiadków, z których jeden (niedźwiedzica) został w bestjalski sposób zabity przez chłopów (patrz notatkę z Nr. 18 „Łowiec Polski") już poza obrębem Puszczy Białowieskiej — pomimo okólników, przestrzegających ludność przed podobnemi czynami, wydanych przez wszystkich starostów powiatowych w tamtych stronach.

Jedna para z tych wypuszczonych w dn. 14.IV b. r. niedźwiadków przebywa przeważnie na terenie Parku Narodowego w Białowieży i, jak się wydaje dotychczas, jest mniej narażona na niebezpieczny kontakt z człowiekiem.

Teraz przebywające na terenie Puszczy niedźwiadki, pomimo dostatecznej ilości pokarmu, przychodzą od czasu do czasu na „Niedźwiedziówkę" odwiedzić swych starych przyjaciół — dozorców, którzy, wbrew może głosowi serca, muszą odpędzać przymilne stworzenia, dbając o ich własne dobro! Strażnicy z Niedźwiedziówki skrzętnie prowadzą księgę — dziennik, w którym zapisują wszystkie kroki swoich wychowanków, notują wszystkie występujące objawy ich humoru, samopoczucia i t. p. Wymarzone to miejsce dla miłośnika przyrody — taka Niedźwiedziówka, chałupinka zagubiona w Puszczy, w ciszy, gdzie w zimie tylko wycie wilków i zawodzenie wiatru słychać, a w lecie jedyne towarzystwo stanowią niedźwiedzie!

Mojem zdaniem sposób zasilania Puszczy w niedźwiedzie, na miejscu urodzone i stopniowo dziczejące podczas coraz dalszych wypraw wgłąb lasu, jest lepszy i da pozytywniejsze wyniki. Przy niedźwiadkach podrośniętych, jednorocznych lub nawet starszych — nic nie wiemy o ich przeszłości, gdzie one były wychowywane i w jaki sposób, tembardziej że na słowie czerwonego sąsiada polegać trudno, a w tym wypadku nasi dostawcy sami może też nie wiedzą, jakie koleje losu przechodziły te nabyte przez nas niedźwiedzie. Najlepsze byłyby naturalnie świeżo złowione dzikie okazy w wieku młodocianym — niezbyt złośliwe, a równocześnie odczuwające wrodzoną trwogę przed człowiekiem. Najgorsze zaś byłyby sztuki urodzone w ogrodach zoologicznych — od pierwszej chwili świadomego istnienia przywykłe do ludzkich twarzy. Obawiam się, że właśnie te zbyt przyjaźnie odnoszące się do ludzi niedźwiadki — zabita samica i bohater tej opowieści — były właśnie owocem miłosnych uniesień uwięzionych w klatce rodziców!

Osierocony towarzysz zamordowanej niedźwiedziczki chodził samotnie po wsiach i żebrał natarczywie, albo poprostu trudnił się drobną kradzieżą produktów spożywczych. W chwili mojego przyjazdu do Białowieży w dn. 3 czerwca r. b. malec znajdował się przy t. zw. „smolarni" w n-ctwie Królewski Most, w pobliżu gajówki, która była objektem jego wypraw po zasoby żywności.

Odrazu spotkało mnie w ukochanej przezemnie Puszczy, po 5 latach nieobecności, miła niespodzianka. Insp. M. Doubrawski zaproponował mi wzięcie udziału w „romantycznej" wyprawie na niedźwiadka, którego należało złowić, wpakować do klatki i przewieźć do Białowieży, skąd miał on wyruszyć znowu do Warszawy — jako „typek" nie nadający się do dzikiego życia w Puszczy. Zanadto spoufalał się do miejscowej ludności!

Skwapliwie skorzystałem z miłej propozycji Pana Inspektora. Przebrawszy się w oka mgnieniu w odpowiednie dla tych poważnych łowów łachmany — starą bluzę khaki i przedpotopowe spodnie sportowe — a więc zbliżywszy się wyglądem przynajmniej do jakiegoś trudniącego się wyróbką drzewa „bałachowca", lub zwykłego czubaryka — wsiadłem na wóz, tuż przy wielkiej klatce, mile pachnącej odchodami niedźwiedzia i pojechałem. Dojechałem do Grudków, gdzie znajduje się wielki tartak i stacja kolei leśnej.

Władowaliśmy naszą skrzynię na wózek, składający się z ramy żelaznej, opartej na dwóch osiach, na której znajdował się pomost z desek. Dziwaczny ten wehikuł popycha się długiemi drągami. Dostałem przyboczną drużynę łowiecką — dwóch mocno podtatusiałych robotników leśnych, o bardzo miłem, pogodnem usposobieniu, które wyrażało się w ciągłem wspominaniu najbliższej rodziny. Te dwa, trzy wyrazy oddawały doskonale i zdziczenie, i radość, i oburzenie, i rozmarzenie, i zniecierpliwienie — wszystkie jednem słowem pastelowe odcienie uczuć mozolnie popychającego wózek robotnika.

Zaczęła się długa 14 kilometrowa wędrówka — z górki w dół — ze świstem wiatru w uszach, przy wtórze wyżej wspomnianych okrzyków, wyrażających w tym wypadku zachwyt, a potem powolne gramolenie się w górę po pochyłości. Chwyciłem drąg i we trójkę poszło raźniej. Puszcza witała mnie odwiecznym swym poszumem — takim samym, jak kiedyś przed laty, gdy jako sztubak jeszcze po raz pierwszy poznałem jej oblicze zawsze pełne tajemnic i objawień. Łopotały drobnem twardem listowiem osiki, dzwoniło sosny igliwie, stulistnemi koronami głucho szemrały dęby... Wózek, popychany zgranemi pchnięciami drągów, sunął naprzód.

W pewnej chwili zatrzymano nas na drodze, ponieważ lada chwila miała nadejść z przeciwnej strony kolejka naładowana drzewem. Stanęliśmy na mijance i zaczęliśmy czekać. Najpierw spokojnie, potem coraz więcej gromadziło się goryczy w okrzykach robotników, którym po upływie godziny zacząłem wtórować, zaniepokojony losem niedźwiadka. Poinformowano nas, że 20 ludzi nie dało mu rady! Nie chciałem w to wierzyć, zaś przyboczni moi, zawadjacko zakląwszy, dali do zrozumienia, że z djabłem nawet się uporają.

Nareszcie dojechaliśmy do Smolarni i do gajówki. Niedźwiadek spokojnie, z powagą przechadzał się wzdłuż płotu, starając się stwierdzić, czy konstrukcja jego nie jest wadliwa. Tej inspekcji asystowało kilku gajowych, z za płotu zaś przyglądały się niedźwiadkowi kobiety i dzieci.

Postawiliśmy klatkę na ziemi, wysunęliśmy drzwiczki w górę i wrzuciliśmy do środka kawał kiełbasy. Niedźwiadek, nie zdradzając zmieszania, podszedł do klatki i wyciągnął kiełbasę łapą. Jak go zmusić do wejścia wewnątrz klatki? Próbowaliśmy różnych sposobów, nawet popychaliśmy z tyłu, lecz wszystkie próby zawiodły. Niedźwiedź warczał, opędzał się, jak od dokuczliwych much, a do klatki iść nie chciał. Wtedy przyszło mi na myśl, że najlepiej będzie umieścić kawałek kiełbasy i kostkę cukru w siatce, znajdującej się po stronie przeciwnej od wejścia. Niedźwiadek wszedł do klatki i zjadł przysmak lecz tylna część jego ciała wystawała z otworu i niesposób było zamknąć zasuwanych drzwiczek. Poleciłem gajowym chwycić leżące w pobliżu płaskie nosze. W chwili

*) Niedźwiadki — z wyjątkiem największego samca — zostały wypuszczone w dniu 3 lipca b. r. (Przyp. autora).

wejścia niedźwiadka po nowy przysmak, leżąc na skrzynce i trzymając drzwiczki, dałem znak gajowym, aby wepchnęli malca do klatki co też uczynili, a mnie udało się silnem pchnięciem zasunąć odrazu drzwiczki.

Łowy na niedźwiedzia po godzinnych próbach zostały uwieńczone powodzeniem! Wstawiliśmy klatkę z małym więźniem na wózek i ruszyliśmy w powrotną drogę. Był to pochód tryumfatorów. Po drodze zatrzymywano nas niejednokrotnie, a robotnicy częstowali niedźwiadka chlebem, słoniną, mlekiem, co spotykało się z wielkim uznaniem z jego strony. Swoje niezadowolenie z przymusowej podróży w ciasnej klatce malec wyrażał tylko złośliwem mruczeniem i wyrzucaniem z pod siebie słomy.

Po przywiezieniu do Białowieży niedźwiadek w nocy wydostał się z klatki, rozbijając drzwiczki, i rankiem wywołał popłoch wśród grupy wycieczkowiczów, którym, nie krępując się obecnością tłumu ludzi, wyjadł ciastka z koszyka. Zawadjackiego łakomczucha wpędzono znów wypróbowanym sposobem do klatki i wysłano wreszcie do Warszawy.

Mam nadzieję, że przy spotkaniu będziemy mogli z nim pogawędzić o miłych dla mnie, a mniej przyjemnych dla niego chwilach, spędzonych wspólnie w Puszczy.

Takie to były moje łowy na niedźwiedzia w Puszczy Białowieskiej, których żywe trofeum siedzi teraz w ogrodzie zoologicznym. Siedzi w klatce niedźwiadek, ukarany za to, że nie umiał korzystać z wolności, z miłości gościnnej Matki Puszczy i wolał przebywać w poniżającem godność zwierzęcą towarzystwie ludzi.

Inż. W. LINDEMAN.

Z Radzyńskiego Towarzystwa Łowieckiego

Dnia 3 lipca r. b. dorocznym zwyczajem Radzyńskie Tow. Łowieckie zorganizowało czwarte zkolei Konkursy strzelania do rzutków, które tym razem odbyły się w Borkach, u Prezesa R. T. Ł., Z. Jaźwińskiego, na standzie ad hoc wśród pól urządzonym — bardzo szczęśliwie pomyślanym i estetycznie wykonanym.

Zawodników znalazło się, niestety, na standzie znacznie mniej, niż lat ubiegłych, t. j. 23-ech, co należy tłomaczyć odległością i pogodą, zapowiadającą się niezbyt pomyślnie.

Strzelano w 3 konkurencjach: pierwsza — otwarcia była wyłącznie dla członków R. T. Ł., druga — główna i trzecia — pocieszenia. Ta ostatnia przerwana została ulewnym deszczem i przy deszczu ukończona.

Naogół warunki strzelania były dość trudne. Nastroje panowały wesołe, dzięki bufetowi, zorganizowanemu przez Radzyńskie Ziemianki.

KONKURS OTWARCIA (tylko dla członków R. T. Ł.):

1) Jaźwiński Zygmunt, 10/10 — papierośnica srebrna, ofiarowana przez Aug. hr. Zamoyskiego.
2) Jaźwiński Konstanty, 6/10 w rozgr. — pudełko skórzane na karty do gry, ofiarowane przez Andrzeja hr. Żółtowskiego.
3) Szaniawski Jerzy, 6/10 w rozgr. — postument bronzowy na marmurze.
4) Jaźwiński Tadeusz — nagroda firmy „Karpaty".



Komitet organizacyjny zawodów R. T. Ł. w Borkach.

KONKURS GŁÓWNY.

1) Jaźwiński Tadeusz, 18/20 — puhar przechodni R. T. Ł. — nagroda Prezesa R. T. Ł. (kryształ).
2) Bojanowski Andrzej, 16/20 w rozgr. — kordelas, ofiarowany przez Radzyńskie Koło Ziemianek.
3) Jaźwiński Zygmunt, 16/20 w rozgr. — butelka myśliwska, nagroda Woj. Rady Łowieckiej w Lublinie.
4) Skalski Mieczysław, 15/20 w rozgr. — pudełko z bronzu, nagroda Łowczego Pow. P. Z. Ł., W. Dernałowicza.
5) Jaźwiński Konstanty, 15/20 w rozgr. — stołek myśliwski.

KONKURS POCIESZENIA.

1) Wolf Kazimierz, 5/5 — album, nagroda Starosty Pow. Radzyńskiego, Fr. Olearczyka.
2) Płk. Sznuk, 4/5 w rozgr. — żeton złoty.
3) Puchalski T., 4/5 w rozgr. — żeton srebrny.
4) Grodziński Zb., 3/5 — żeton bronzowy.

Do każdej z nagród dodawane były naboje Warsz. Sp. Myśl., ofiarowane przez Państwową Wytwórnię Prochu „Pionki" w łącznej ilości 600 sztuk.



Zapisy zawodników na zawodach R. T. Ł. w Borkach.

ZAWODY STRZELECKO-MYŚLIWSKIE W BRZEŚCIU n/B.

W dniu 10 lipca r. b. w Brześciu n/B. odbyły się zawody strzeleckie do rzutków, zorganizowane staraniem tut. Klubu Myśliwskiego.

Zawody te odbyły się na własnej strzelnicy Klubu, która dnia tego tłumnie była odwiedzana i to zarówno przez strzelców, biorących udział w konkurencjach, jak i przez licznych gości.

Zawody, które stanowiły pierwszą tego rodzaju imprezę na Polesiu, zaszczycił swą obecnością Wicewojewoda poleski p. St. Bieniewski, interesując się żywo wynikami, uzyskanemi przez poszczególnych zawodników.

Mistrzostwo m. Brześcia n/B. zdobył inż. A. Zalewski, II miejsce uzyskał inż. Wł. Wyczałkowski, III p. Al. Szełućko, IV p. Gustaw Czarnocki, V p. dyr. W. Nieniewski, VI sędzia W. Tomaszewski.

Nadmienić należy, iż nieznany do niedawna sport ten zaczyna wzbudzać coraz większe zainteresowanie i liczy znaczną ilość zawodników, którzy będą mieli możność zaprezentować swoją klasę na zawodach w Pińsku, które odbędą się w dniu 28 sierpnia r. b. Na zawody te spodziewany jest liczny zjazd myśliwych i to zarówno z Polesia, jak i z innych dzielnic Polski.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

DZIAŁ URZĘDOWY.

(Przedruk dozwolony tylko z powołaniem się na źródło).

PROTOKÓŁ WALNEGO ZGROMADZENIA WOŁYŃSKIEJ WOJEWÓDZKIEJ RADY ŁOWIECKIEJ W ŁUCKU Z DNIA 30 CZERWCA 1938 ROKU.

Łowczy Wojewódzki po stwierdzeniu listy obecności i uznaniu Zgromadzenia za prawomocne, wita przybyłych na Walne Zgromadzenie: przedstawiciela Pana Wojewody, p. Naczelnika Łączyńskiego, oraz przedstawicieli Dyr. Lasów Państwowych, jak również przybyłych pp. Delegatów na Walne Zgromadzenie, Łowczych i Podłowczych.

Na wniosek przewodniczącego p. Romana hr. Potockiego, Walne Zgromadzenie powołuje na asesorów pp. Stanisława Targońskiego i Wacława Podhorskiego, a na sekretarza p. Stanisława Madeyskiego.

P. Stanisław Madeyski odczytuje protokół poprzedniego Walnego Zgromadzenia, jakie się odbyło dn. 17.IX.1937 r.

Protokół został przyjęty bez zmian — jednogłośnie.

Łowczy Wojewódzki wygłasza przemówienie treści następującej: „Zanim przejdę do szczegółowego sprawozdania, muszę wspomnieć, iż w roku 1937 św. Hubert powołał z naszego grona do swego orszaku ś. p. Konstanego Gadomskiego ze Zdołbunowa i Leopolda Dębickiego z Lubomla, pamięć Ich proponuję uczcić przez powstanie.

Przechodząc do sprawozdania, ujmę je nie za okres sprawozdawczy 1937 r., tak jak będzie opiewać sprawozdanie finansowe, lecz po dzień bieżący. Rok 1937-my jest rokiem przełomowym w organizacji łowiectwa Polski, w roku tym bowiem wszedł w życie statut Polskiego Związku Łowieckiego, który zjednoczył wszystkie ideowe stowarzyszenia i kółka łowieckie pod jeden sztandar w ten sposób, że członkami Związku są zarówno poszczególne kółka, jak i indywidualni myśliwi.

Statut przewiduje nową organizację łowiecką, dzieląc ją na poszczególne szczeble hierarchiczne — Wojewódzkie i Powiatowe Rady. Wołyń, jak Panowie wiedzą, podziałem tym nie został zaskoczony, gdyż poprzednio Wołyńskie Stowarzyszenie Łowieckie w poszczególnych powiatach powołało Rady Łowieckie.

Rok 1937-my poświęcony był całkowicie należytemu zmontowaniu organizacyjnemu powiatów. Obecnie na Wołyniu posiadamy 11 Łowczych i 108 Podłowczych, tak że sieć Podłowczych ogarnęła prawie wszystkie gminy województwa.

W ciągu okresu sprawozdawczego odbywały się stałe lustracje Pow. Rad Łowieckich przez naszego Inspektora Łowieckiego p. St. Madeyskiego, niezależnie od tego Rada Wojewódzka była w stałym kontakcie z Radami Powiatowemi, wysyłając instrukcję i okólniki, pozatem wszyscy członkowie otrzymują kwartalne komunikaty.

W dniu 31 grudnia 1937 r. mieliśmy na terenie Wołynia członków zwyczajnych 435, nadzwyczajnych 44, w roku bieżącym zapisało się członków zwyczajnych 105, nadzwyczajnych 7.

Stan członków według powiatów przedstawia się jak następuje:

Powiaty	na dz. 31.XII.137 r.	przybyło w 1938 r.	Razem
Dubno	101	10	111
Horochów	8	8	16
Luboml	11	—	11
Kostopol	23	4	27
Kowel	51	32	83
Krzemieniec	43	13	56
Łuck	58	15	73
Równe	38	9	47
Sarny	40	5	45
Włodzimierz	35	11	46
Zdołbunow	27	6	33
Razem	435	112	547

Niestety jednak muszę podkreślić, że nie wszyscy członkowie, którzy w roku ubiegłym zapisali się na członków i za rok ubiegły opłacili składkę, w roku obecnym spełnili swój obowiązek, rzeczą przeto Panów Łowczych będzie dołożenie wszelkich starań, by tę kwestję uregulować.

Współpraca nasza z Administracją była stała i tu muszę podkreślić, że we wszelkich sprawach dotyczących łowiectwa Wołyński Urząd Wojewódzki zawsze zwracał się do Rady Wojewódzkiej. Woj. Rada Łow. wydawała opinje, dotyczące odstrzału sarn-kóz, strzelania dzików w czasie ochronnym, jak również w sprawie odwołań od decyzji pp. Starostów przy wydawaniu kart łowieckich. Za okres sprawozdawczy Woj. Rada Łow. wydała opinje na odstrzał sarn-kóz dla 10-ciu łowisk na ogólną liczbę 1270 szt., oraz w 4-ch wypadkach na polowanie na dziki w czasie ochronnym.

Stosunek lojalny do naszego Związku okazywany przez pp. Starostów, głównie się przyczynił do unormowania spraw łowieckich.

Chcąc rozpowszechnić sport strzelecko-myśliwski — Wojew. R. Ł. w dniu św. Huberta ub. r. urządziła wspólnie z sekcją myśliwską W. K. S. zawody w strzelaniu kulowem i śrutowem, zgromadziły one jednakże niewielką liczbę zawodników i to przeważnie z Łucka. Chcąc, by szersze grono myśliwych z terenu Wołynia zainteresowało się tym sportem, Woj. Rada Łow. zwróciła się do wszystkich pp. Łowczych Powiatowych, by na terenie powiatu zostały urządzone zawody w strzelaniu kulowem i w strzelaniu do rzutków. W kilku powiatach takie zawody się odbyły i dały eliminację na zawody ogólne Wołyńskie.

Staraniem jednego z członków naszego Prezydjum p. St. Madeyskiego, Państwowa Wytwórnia Prochu w Pionkach ofiarowała dla Wołynia 3 rzutnie dwuramienne, oraz pewną ilość rzutków. Rzutnie te będą skierowane do tych powiatów, które wykazują większe zainteresowanie w miejscowych kółkach myśliwskich tym sportem. Niech mi będzie wolno w tem miejscu wyrazić podziękowanie Dyrekcji Państwowej Wytwórni Prochu w Pionkach, która w zrozumieniu znaczenia należytej zaprawy myśliwych w tego rodzaju strzelaniu, oraz propagandy tego sportu, wystąpiła z tym darem dla Wołynia.

Woj. Rada Łow. obecnie opracowała statystykę, dotyczącą spraw wchodzących w zakres łowiectwa, do tej pory bowiem nie mieliśmy wystarczających w tej dziedzinie danych. Wzory tej statystyki będą rozesłane pp. Łowczym, którzy odbędą konferencje z pp. Podłowczymi w sprawie wypełnienia kwestjonarjuszy.

W roku bieżącym ukazała się w niektórych powiatach epidemja wśród sarn, w związku z tem W. R. Ł. poleciła pp. Łowczym zwrócenie bacznej uwagi i w wypadkach padnięcia sarn, odsyłanie zarażonych organów do Instytutu Badań przy Dyr. Lasów Państw. w Białowieży. Z chwilą ukazania się zielonej paszy w lesie epidemja ta wygasła.

W roku ubiegłym w Ordynacji Ołyckiej zostały wypuszczone z zagród, chowane tam od paru lat jelenie w ilości 34 szt., tem samem jest nadzieja, że w niedługim czasie, i ten szlachetny zwierz rozpowszechni się na naszym Wołyniu.

Niech mi będzie wolno z tego miejsca wyrazić ks. Januszowi Radziwiłłowi nasze uznanie, oraz serdeczne życzenie, by realizacja Jego czynu dała jaknajlepsze rezultaty.

W związku z wypuszczeniem jeleni na swobodę Woj. Rada Łow. zwróciła się do Urzędu Wojewódzkiego i do Wojew. Kom. P.P. o wydanie odpowiednich zarządzeń do ludności, dotyczących ochrony jelenia, wraz z pouczeniem o odpowiedzialności karnej za zabicie jelenia.

Chcąc przeciwdziałać masowemu wybieraniu gniazd ptasich i chwytaniu młodej zwierzyny łownej, wiosną b. r. W. R. Ł. zwróciła się do p. Kuratora Okręgu Szkolnego Wołyńskiego w sprawie wydania zalecenia wszystkim kierownikom szkół powszechnych urządzania pogadanek na temat ochrony przyrody, ptactwa i zwierząt.

W okresie sprawozdawczym odbyło się 9 posiedzeń W. R. Ł. w tem od ostatniego Walnego Zgromadzenia 3, niezależnie od tego Prezydjum W. R. Ł. funkcjonowało stale i wszelkie sprawy były załatwiane niezwłocznie.

Biuro W. R. Ł. mieści się obecnie w lokalu przy ul. Bankowej Nr. 1 i jest czynne codziennie. Za czas do 31 grudnia ub. r. załatwiono spraw wg. dziennika podawczego 757. W roku bie-

żącym po dzień dzisiejszy 322, przyczem pisma jednej treści i okólniki otrzymują jeden numer.

Co do stanu zwierzyny łownej na terenie Wołynia, to trzeba stwierdzić, że znacznie się poprawił, co jest zasługą niemałą Organów Powiatowych P. Z. Ł., którzy współpracując z Administracją i Policją Państwową wybitnie przyczyniają się do podniesienia etyki wśród myśliwych, a tem samem i racjonalnego wykonywania polowań. Muszę jednak podkreślić, że na laurach spocząć nie możemy.

A i bez tego większa ochrona zwierzyny drobnej — tej zasadniczej części naszego zwierzostanu — wymaga większej pieczy, szczególnie wobec akcji komasacji wsi.

Ważnym momentem, również jest sprawa tępienia wszelkich drapieżników. Specjalnie też uwagę pozwalam sobie Panom zwrócić na uporządkowanie rejestracji obwodów łowieckich.

Dążeniem naszem musi być wzorowe uporządkowanie wszelkich spraw łowieckich, oraz doprowadzenie do wybitnego stanu pod względem ilościowym i jakościowym zwierzyny, nietylko grubej, ale i drobnej. Rezultaty zajęcze zeszłorocznych polowań w Hołownicy i Pustomytach napawają nas dumą i nadzieją. Na tem swe sprawozdanie kończę".

Skarbnik p. W. Maciejewski przedkłada sprawozdanie finansowe za 1937 r.

Strona przychodowa wraz z saldem i wpłatą zaległych składek do Wol. Stow. Łow. wynosi zł. 5321,13 w tem składki członkowskie zł. 4526.—

Strona rozchodowa wykazuje zł. 5237,18. Saldo na 31.XII. 1937 r. wynosi zł. 83,93. Poszczególne pozycje rozchodowe są: przekazane do Centrali P. Z. Ł. 50% składek członkowskich zł. 2263,—, spłacono zaległości zł. 469,10, dotacje Pow. Rad. Łow. zł. 566,90, koszty administracyjne zł. 918,70, kupno inwentarza, w tem maszyny do pisania zł. 422,50, koszty wyjazdów na zjazdy i posiedzenia na terenie województwa zł. 324,05 (są to faktyczne poniesione wydatki tylko na bilety kolejowe, autobusowe i dorożki — żadnych djet wyjeżdżający nie pobierają), nagrody za tępienie przestępstw łowieckich zł. 105.—, urządzenie zjazdu i wystawy obrazów B. Jakimczuka zł. 91.40, zwroty zł. 60,40, porto w K. K. O. zł. 16,13.

Pan A. Klimko członek Kom. Rewiz. odczytuje protokół Komisji Rewizyjnej, która w składzie pp. A. Jackiewicza, L. Jarząbka i A. Klimko przeprowadziła szczegółową rewizję ksiąg i stwierdziła, że wydatkowanie było czynione w ramach zatwierdzonego budżetu i gospodarka była prowadzona oszczędnie.

Wobec powyższego Komisja Rewizyjna wnosi o przyjęcie sprawozdania i o uchwalenie Woj. Radzie Łowieckiej absolutorjum. Wniosek ten Walne Zgromadzenie jednogłośnie uchwala.

Pan St. Madeyski podaje do wiadomości, że preliminarz budżetowy na rok 1938-y został sporządzony wedle specjalnego wzoru, uchwalonego na Radzie Naczelnej P. Z. Ł. i jest on podzielony na trzy działy wydatków. Grupa I-sza wydatki administracyjne, które mogą wynosić 33% wydatków ogólnych, grupa II-ga — wydatki rzeczowe i celowe — minimum 52% wydatków ogólnych, oraz grupa III-cia wydatki organizacyjne i propagandowe — minimum 15% wydatków ogólnych. Jeśli chodzi o podział składek członkowskich, to stosownie do uchwały Rady Naczelnej do Centrali musi być przekazane 50% wpływów. Na temże posiedzeniu Rady Naczelnej zostały przyznane tym Radom Wojewódzkim, których wydatki muszą być większe z powodu rozległości terenowych, jak i potrzeb lokalnych, pewne dotacje. Woł. Woj. Rada Łow. otrzymała zł. 1.000.— dotacji, która będzie wypłacona po upływie półrocza procentowo, w miarę wpływów. Na stronę przychodową preliminarza składają się prócz dotacji wpływy ze składek członkowskich, które zostały obliczone wedle nadesłanych w grudniu z końcem ub. r. preliminarzy poszczególnych Pow. Rad Łowieckich. Wedle tych preliminarzy ilość wpływów ze składek członkowskich wynosi zł. 8766.— z tego na rzecz Wojew. Rady Łowieckiej przypada 50% a więc zł. 4383.— co łącznie z dotacją Centrali zł. 1000.— stanowi po stronie przychodowej preliminarza zł. 5383.— Po stronie wydatków na tę sumę składają się wydatki administracyjne zł. 1561,—, wydatki rzeczowe i celowe zł. 3014.—, w sumie tej mieści się dotacja Pow. Radom Łowieckim w wysokości zł. 2364.50, oraz wydatki organizacyjne i propagandowe zł. 807.50. Stosunek procentowy wynosi dla I-ej grupy 29%, II-ej grupy 56%, oraz dla III-ej grupy 15%.

Nad przedłożonym preliminarzem wywiązała się szczegółowa i rzeczowa dyskusja. P. A. Klimko poddaje krytyce budżet, którego wydatki są realne i należałoby na niektóre działy wstawić i większe kwoty, zaś przychody uzależnić od otrzymanych wpływów, a niewiadomo czy ta liczba członków, jaka była przewidziana w grudniu 1937 r., wpisze się w roku bieżącym oraz czy ci członkowie, którzy w roku ubiegłym wpłacili składkę członkowską, wpłacą ją w roku bieżącym.

P. inż. W. Gordziałkowski komunikuje, że preliminarz ten był poddany szczegółowej analizie na posiedzeniu Rady Wojew. i jeśli chodzi o stronę wydatków, to są one czynione bardzo oględnie i wszystkie działy są skomprymowane, o ile je wogóle można skomprymować.

P. St. Madeyski dodaje, że z chwilą rozpoczęcia się sezonu myśliwskiego będzie większy przypływ członków. Niezależnie od tego obecnie została powołana przy Wojew. Radzie Komisja Propagandowa, która opracuje specjalną ankietę propagandową i ta będzie rozesłana wszystkim myśliwym Wołynia, jeszcze nie zrzeszonym w P. Z. Ł.

P. W. Podhorski stawia wniosek, by Walne Zgromadzenie przedłożony budżet zatwierdziło bez zmian, tem więcej wobec oświadczenia Prezydjum, że wydatki są skomprymowane i czynione w miarę wpływów na najniezbędniejsze potrzeby, a równocześnie zwraca się do wszystkich pp. Łowczych i Podłowczych i Delegatów, by na terenie swych powiatów rozwinęli większą propagandę za wstępowaniem myśliwych do P. Z. Ł. Wniosek ten Walne Zgromadzenie przyjmuje jednogłośnie.

Z kolei przewodniczący Łowczy Wojewódzki udziela głos p. M. Mniszek Tchorznickiemu, który wygłosił referat pod tytułem „Rozwój historyczny łowiectwa na ziemiach Polski".

Prelegent w sposób nader ciekawy i naukowo opracowany przedstawił ustawodawstwo polskie łowieckie od czasów początkowych istnienia Państwa Polskiego, a następnie przeszedł w chronologicznym porządku rozwój łowiectwa we wszelkich jego przejawach. W tym ciekawym odczycie prelegent wykazał jaką rolę odgrywało łowiectwo w wiekach średnich, czem było w okresie powstań, następnie przedwojennym, a wreszcie przechodząc do okresu odrodzenia się Rzeczypospolitej wykazał czem jest łowiectwo dzisiejsze. Między innemi prelegent stwierdził, że łowiectwo w okresie średniowiecza było również szkołą wojenną, w okresie powstań — zaprawą w strzelaniu, przed wojną — nosiło charakter doświadczalnictwa naukowego a wreszcie po wojnie dla wielu stało się schronem, gdzie człowiek zmęczony życiem zmaterjalizowanem ucieka do kontaktu z przyrodą.

Referat swój prelegent opracował na podstawie rzeczowych źródeł historycznych i literatury staropolskiej, był on przeplatany cytatami z Sarbiewskiego, Ostroroga, Bielawskiego i innych i dał zebranym szeroki pogląd na samo zagadnienie łowów, oraz na walory jakie łowiectwo posiada.

Liczne oklaski zgromadzonych myśliwych nagrodziły prelegenta za Jego rzeczowo-naukowy i wyczerpująco opracowany referat.

Do Komisji Rewizyjnej na rok 1938 stosownie do § 68 statutu P. Z. Ł. zostali wybrani pp. Apolinary Jackiewicz, Leon Jarząbek i Aleksander Klimko, na zastępców — Korneljusz Disterhoff i Juljan Marynowicz.

Na delegatów na Walne Zgromadzenie Związku stosownie do § 41 pkt. c statutu P. Z. Ł. zostali powołani pp. Inż. W. Gordziałkowski, St. Madeyski, Wacław Podhorski i Piotr hr. Sumiński.

Pan St. Madeyski jako przewodniczący sekcji zawodów strzelecko-myśliwskich zdaje sprawozdanie z organizacji i przebiegu zawodów, jakie się odbyły w dniu 29 b. m. Zawody te stosownie do uchwały Rady Wojewódz. zostały zorganizowane jako I-sze zawody Ogólno-Wołyńskie, celem ich było propaganda sportu strzeleckiego, tak ważnego dla zadań ogólno państwowych, a na Wołyniu do tej pory niepraktykowanego.

Ogólna liczba zawodników była tylko 18, gdyż wielu dobrych strzelców nie dopisało. Trzeba nadmienić, że tak organizacja samych zawodów, jak i urządzenie strzelnicy, były wzorowe i pod każdym względem fachowe. Należy się gorące podziękowanie Panu płk. Żurakowskiemu za wszelką udzieloną pomoc, a za włożoną pracę w dostosowaniu strzelnicy do zawodów Panu por. Gozdalowi, oraz tym wszystkim, którzy swą pracę włożyli w organizację zawodów.

Pan M. Mniszek Tchorznicki, uzupełniając sprawozdanie z zawodów, podkreśla, że sprawozdawca skromnie pominął swą osobę, a właściwie to, że zawody tak sprawnie się odbyły pod względem organizacyjnym, jest zasługą Pana St. Madeyskiego, za co mu się należy specjalne podziękowanie. Walne Zgromadzenie oklaskami wyraziło P. St. Madeyskiemu podziękowanie.

Wszyscy zawodnicy, którzy osiągnęli w poszczególnych konkurencjach najlepsze wyniki, zdobyli bardzo piękne nagrody oraz dyplomy honorowe, których rozdania dokonał Łowczy Wojewódzki, wyrażając podziękowanie organizatorom i zawodnikom, oraz fundatorom nagród.

Zostały zgłoszone i jednogłośnie uchwalone następujące wnioski:

I. Zważywszy, że podstawową rzeczą podniesienia etyki łowieckiej, a tem samem łowiectwa, jest zjednoczenie wszystkich myśliwych w P. Z. Ł., co jest tylko możliwe przy uzależnieniu otrzymania karty łowieckiej od przynależności starającego się do P. Z. Ł. — należy bezwzględnie dążyć, by takie postanowienie było w nowem prawie łowieckiem.

II. Chcąc na forum Sejmu i Senatu uzyskać większe zainteresowanie nowelą do prawa łowieckiego, a tem samem jej zrozumienie — upraszamy Władze Naczelne P. Z. Ł., by przy najbliższej sposobności spowodowały specjalne zebranie PP. Senatorów i Posłów — myśliwych i by na tem zebraniu było dokładnie przedstawione i omówione prawo łowieckie.

Pan mjr. Bajer zwraca się z dezyderatem do Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, by wobec stwierdzenia wielkich szkód w zwierzynie łownej, spowodowanych przez ptactwo drapieżne, których mnogość specjalnie występuje na terenach graniczących z lasami państwowemi, zwrócić się do Dyrekcji Lasów Państwowych w Łucku, by te szkodniki były tępione w Lasach Państwowych.

WALNE ZGROMADZENIA ORGANÓW P. Z. Ł.

WOJEWÓDZTWO KIELECKIE.

Na zasadzie § 38 statutu P. Z. Ł. Kielecka Wojewódzka Rada Łowiecka zwołuje doroczne Walne Zgromadzenie Wojewódzkie Polskiego Związku Łowieckiego z następującym porządkiem dziennym:

1) Zagajenie Zgromadzenia,

2) Podpisanie listy obecności,

3) Wybór 2-ch sekretarzy i 4-ch asesorów do Prezydjum Zgromadzenia,

4) Zatwierdzenie porządku dziennego Zgromadzenia. Wysłuchanie sprawozdania Komisji Rewizyjnej.

5) Zatwierdzenie sprawozdania z roku sprawozdawczego 1937-go i uchwalenie dla Rady absolutorjum.

6) Sprawozdanie z prac bieżących Oddziału.

7) Zatwierdzenie kooptowanych członków Rady. Wybory członków Rady na miejsce członków, którzy zgłosili swe ustąpienie. Wybory delegatów na Walne Zgromadzenie Związku oraz Wybory Komisji Rewizyjnej Oddziału.

Zgromadzenie odbędzie się dnia 2 września r. b. w Kielcach, w lokalu Kieleckiej Izby Rolniczej (ul. Sienkiewicza 47) o godzinie 12-ej.

Prezes Kieleckiej Rady Łowieckiej
w/z. J. PIEROŻYŃSKI.

Jesienne próby polowe

Z POINTER KLUBU W POLSCE

W dniu 25 września r. b. Pointer Klub w Polsce urządza jesienne próby polowe dla wyżłów angielskich ras.

Do sądzenia psów zostali zaproszeni S. Czerski, I. Grymiński, K. Kamieński i J. Wodziński.

Wpisowe wynosi zł. 15.—, dla członków Stowarzyszeń, zrzeszonych w M. K. K. — zł. 10.—.

Zgłoszenia psów do dnia 17 września włącznie przyjmuje p. S. Mackiewicz w Redakcji „Łowca Polskiego" (Nowy Świat Nr. 35, tel. 666-29).

Szczegółowe dane będą ogłoszone dodatkowo.

Z WLKP. SEKCJI KYNOLOGICZNEJ W POZNANIU

5-go września r. b. pod Poznaniem odbędą się próby wyżłów dowodnych, urządzone przez Związek hodowców wyżła szorstkowłosego — Sekcja Kynologiczna przy Wlkp. Zw. Myśliwych w Poznaniu.

Wszelkie informacje oraz blankiety zgłoszeniowe można otrzymać w f. „Żarówka", Poznań, Al. Marcinkowskiego 18, tel. 5491.

TREŚĆ NUMERU:

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28; miesięcznie zł. 2,50. **Dla członków Polskiego Związku Łowieckiego:** za kwartał zł. 6; za pół roku zł. 12; za rok zł. 24; miesięcznie zł. 2. Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca 25 gr. Pocztowe Konto Rozrachunkowe Nr. 206, Warszawa 1.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem — 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł
Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogłoszenia — 1 zł.
Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 6-66-29. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa

OGŁOSZENIA DROBNE

Bażantarnik, z ukończoną praktyką, posiadający świadectwa z pierwszorzędnych bażantarni, poszukuje posady od 1 października jako bażantarnik, strzelec lub gajowy. Oferty dla „S. M.", Red. „Łowca Polskiego".

Biuro Polowań dla Polski i Zagranicy — Warszawa, ul. Skwarczyńskiego 22, organizuje i dostarcza wszelkich sezonowych polowań. Polowania zespołowe i indywidualne. Aktualnie — kaczki. Zgłoszenia, warunki i informacje osobiście, lub telefonicznie, w godzinach: do 11 rano, tel. 518,72, dyr. Januszewski — od 14½ do 16 i wieczorem — tel. 12.61-22.

Biuro polowań poszukuje 1 myśliwego, jako towarzysza do samochodu na 10-dniową wycieczkę po Polesiu i Wileńszczyźnie. Wyjazd z Warszawy 23 b. m. na Brześć. 28-go w Pińsku na Jarmarku i otwarciu Pawilonu Łowieckiego. Po tem polują Baranowicze, Mołodeczno, Narocz. Powrót przez Wilno — Druskieniki. Koszt dzienny 50.— zł. Zespół: trzech, służący i pies. Informacje w Biurze Polowań, jak wyżej.

Dyrekcja Lasów Państwowych w Białowieży sprzeda odstrzał łosi na bukowisku w cenie 1.500 zł. za sztukę. Informacji udziela Oddział Łowiectwa D. L. P. w Białowieży, tel. nr. 43.

Jeleń trzyletni, mocny, regularny **dziesiątak** na sprzedaż. Fotografie na żądanie. Żółtowski — Głuchów p. Czempiń.

Leśniczego lub podleśniczego z dłuższą praktyką, dobrze obeznanego z łowiectwem, obecnie w dobrach Łochowskich. Poszukuje posady od 1 października. Oferty „Łowiec Polski", dla J. W.

Psy myśliwskie do polowań na suchych i mokrych terenach: z ukończoną tresurą, podtresowane i bez tresury, oraz szczenięta odchowane do sprzedania. Dobór selekcyjny czołowych reproduktorów wszystkich ras do kopulacji suk. Listownie do 12-tej. Informacje znaczek poczt. Hodowla „Splendor" Warszawa, Krucza 34, tel. 851-14.

Setter angielski w pierwszym polu ułożony okazyjnie do sprzedania. Do obejrzenia i wypróbowania u J. Dziekanowskiego (Radzamin, Peowiaków 37). Informacje—Setter Klub, Nowy Świat 35.

Skrzyneczki specjalnie przeznaczone do przesyłania części padłej zwierzyny, w celu zbadania choroby, do nabycia w Administracji „Łowca Polskiego". Cena zł. 2.—

Springer-spaniele szczenięta, z psiarni „Lwa" ks. Izabelli Radziwiłłowej, będą do odbioru od 1-go listopada. Zamówienia naprzód konieczne. Cena zł. 200. Mankiewicze, poczta Stolin.

Suka niem. krótkowłosa, 3 polem pies, 2 polem jamniki półroczne, żółte, sprzedam. Kozłowski, leśniczy, p. Borzykowo, Gorazdowo, pow. Września.

Szczenięta settery angielskie, po nagrodzonych rodzicach z rodowodami hodowli „Wuka", sprzedam tanio. Inż. Karsch, Zagórne 16 m. 4, tel. 518-26.

Żarodowa hodowla setterów lewerackich, sprzedaje wybitnie rasowe szczenięta, po doskonałych polnych rodzicach, w cenie 40 zł. za sztukę. Nadleśnictwo Wólka Klesowska, poczta Klesów, pow. Sarny.

2 czteromiesięczne suczki długowłose, po importowanych rodzicach z rodowodami w cenie po 70 zł., sprzeda: R. Derwanz, leśniczy, Żołędnica leśn., poczta Sarnowa, pow. Rawicz, Poznańskie.